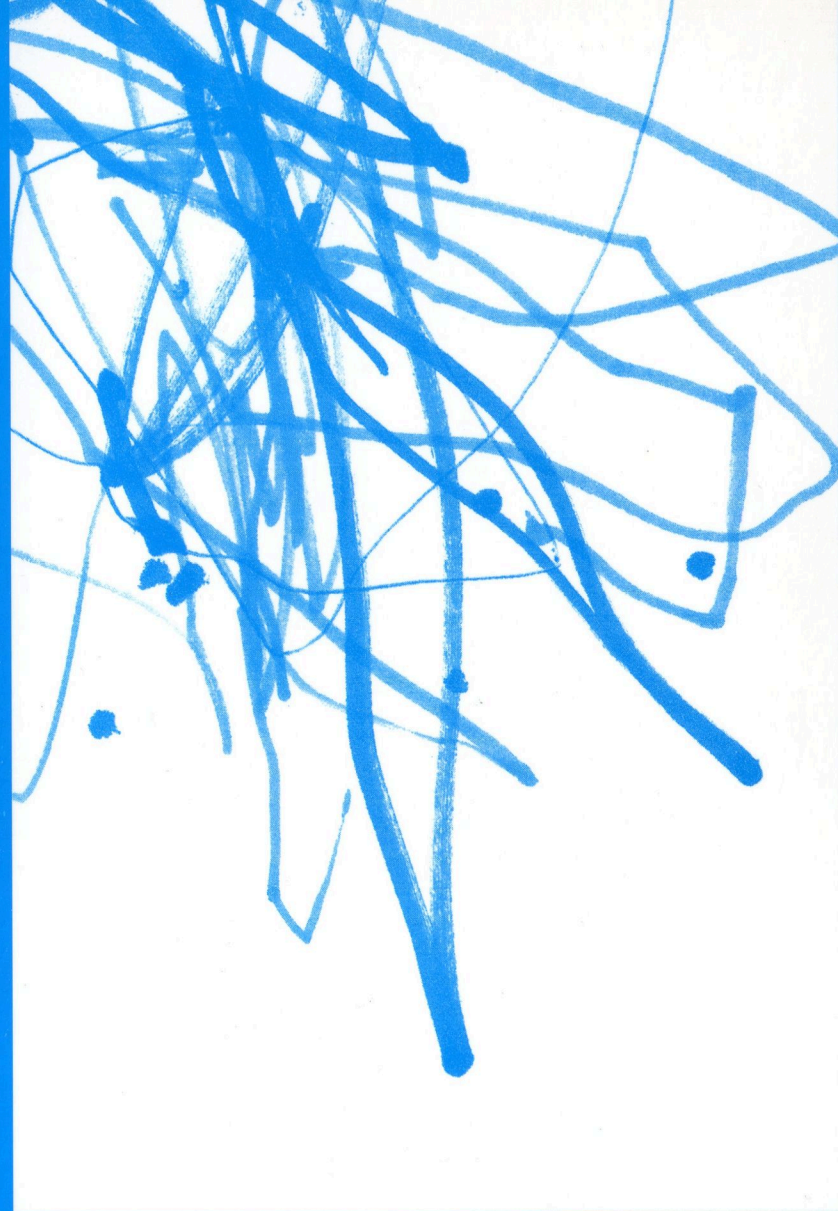




ASPIRACJE

ASPIRACJE

**MAGAZYN
LITERACKI
MŁODYCH**

**NR 6 /41/
MARZEC 2007
TARNÓW**

publikacja

GRUPY MŁODYCH AUTORÓW

Oddział dla Dzieci i Młodzieży MBP
ul. Staszica 6, tel. 621-34-54
was@biblioteka.tarman.pl

wybór i opracowanie wierszy
ZBIGNIEW MIROSLAWSKI

opracowanie graficzne
ANDRZEJ HENRYK TRYBULSKI

rysunek na okładce
MAGDALENA JADWIGA TRYBULSKA



WYDAWCA

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. Juliusza Słowackiego
33-100 Tarnów, ul. Krakowska 4
tel. 014/688-80-23/4 tel/fax 622-20-93
e-mail: mbp@biblioteka.tarman.pl
www.biblioteka.tarman.pl

Tarnów - 21 marca 2007

Nowy rok 2007, dla nas 18 rok od kiedy spotykamy się w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Juliusza Słowackiego w Tarnowie w ramach warsztatów, spotkań promocyjnych i przyjacielskich. Redagujemy "Aspiracje", obecny numer nosi już cyfrę – 41! Nade wszystko jako Grupa Autorów lansujemy jednak określony styl życia, nieobojętnego na czytane lektury, na dźwięk poetyckiego słowa, na opisywane zdarzenia, często stanowiące przecież najintymniejszą spowiedź z własnych przeżywanych rozterek i dramatów.

Jesteśmy już po promocji tomiku Mariusza Mityry "Rzeczywistość zbyt prawdziwa", jej recenzja dostępna jest w internecie na www.tarnowska.u2.pl, tamże również tekst o historii dokonań literackich w Tarnowie pt. "Literacki Tarnów?".

W obecnym numerze gościnnie publikujemy wiersz Wiesława St. Ciesielskiego pt. "Oblicze Anioła" z Jego najnowszego tomiku

Wśród pozostałych autorów przeczytamy także utwory poetyckie: Ani Mróz, Michała Piętniewicza, Roberta i Mateusza Stańczyków, Andrzeja Mleczi, Darka Romanowskiego, Bartka Barana, debiuty: Patryka Brożka, Krzysztofa Maniaka, Agnieszki Węgrzyn "Nibi" i Grzegorza Jurczaka, prozę: Michała Piętniewicza, Sławomira Boboli, Jerzego Reutera (2 opowiadania, pt. "Skarb" i "Strach") oraz 13 odcinek powieści-dziennika Zbigniewa Mirosławskiego pt. "Dzień za dniem".

Już w najbliższym czasie czeka nas promocja kolejnego, 6 już zbioru wierszy Zbigniewa Mirosławskiego pt. "Zastygłe pejzaże", jego recenzentem został Dariusz Romanowski.

Kajetan - Cierń

Tarnów- marzec 2007

„Poezjo - wieczniesz cię po sprzętach szukać trzeba”

25 kwiecień 1905

Poezjo - wieczniesz cię po sprzętach szukać trzeba,
wśród zwiędłych kwiatów,
gdy wesół wczoraj kwiat opada i omdlewa;
czyliś ty tylko jest w tych głosach z oddalenia,
w echach z innych światów,
urokiem snów i czarem chwil omdlenia;
czy nie ma ciebie tam, gdzie czas rozkwitu,
gdzie walka i gdzie walki przesilenia;
czyliś posągiem tylko śmierci bytu;
tym przeto duszy panująca,
że pokonanym dajesz promień słońca,
a wszystkie duchy zwycięstw uskrzydłone
wtedy twe siostry, gdy padną zwalone;
czyliś jest chwilą, czyli jesteś wieczna,
czyliś jest - choćby chwilę władnąca i żywa,
czyliś jest słowo - nazwa niedorzeczna,
więc twoja siła i moc, co porywa,
ani jest chwilą, ni wiekiem,
lecz sercem, czuciem, wolą - jest człowiekiem!

Stanisław Wyspiański
Kraków

Wiesław Stanisław Ciesielski

„Oblicze Anioła”

Anioł na cmentarzu na Rossie w Wilnie
odprowadza wzrokiem żyjących...
A Polska? Milcząca Wisła.
Mająca swoje źródła na dalekim Kazachstanie,
a odpływ w dzisiejszych czasach,
na stole chirurgicznym,
amputacja polskości, wyrwanie serca,
dla tych, którym czas Ojczyzny się zatrzymał,
nikt orderów nie niesie.

Czekają na śmierć.
Skrzypieniem zawiasów, wieko skrzyni zamknęło
nie uporządkowane życie.
Pokonany przestrzenią, pokonany pragnieniem,
przełamany progiem domu.

Wszystko to, co na zewnątrz,
rozrzucone po świecie, nie da się zebrać.
Stukasz kołatką, oblicze Anioła
jest bliskie jak nigdy dotąd.
Otworzą i wpuszczą cię do środka,
uporządkowanego wnętrza,
wolności.

Nikt nie zwróci życia ludziom złamanym,
nikt nie zwróci życia tym, którzy nie dali się złamać.

Grzegorz Jurczak

WIARA

To nie wiedza aprioryczna
Lecz niewzruszone trwanie
w dekalogu niepewności.

WIELOJEDNOZNACZNOŚĆ

Wyrośłem z wierszy -
- Nikt ich nie czyta
Z manifestów -
- Nikogo nie obchodzą
Tylko patrzę uważnie
Szukając dziury w całym -
Miejsca dla siebie

* * *

To nie wina emocji
Że są
Uczuć
Że spod kontroli
Często
Wbrew woli
Uwalniają
Się i Nas
Szczęście
To czas
Rozumienia
Sensu
Przełamywanych fal
W nas samych
A nieszczęście
To jego brak

Anna Mróz

Z cyklu: „W strugach wiatru”

Nie ma już tej dziewczyny
co za dnia gonila za wiatrem,
a nocą szukała twoich gwiazd,
by dać ci je w bukiecie słów
"kocham cię"

Nie ma już jej
spaliły ją wspomnienia,
wykruszyły rosy wylanych łez
odeszła w nicość czerni
której ty nigdy nie odnajdziesz
21.05.2006.07:00

* * *

Twój portret słowami
maluję nocą, a za dnia
kiedy patrzysz na mnie
w twych oczach nowa ja

Michał Piętniewicz

„KONIK BUJANY”

weź mnie do siebie koniku bujany
goję się śnię
na twoim siodle spoczywają strzępy
żeglowaliśmy do zamku Camelot
zdobywaliśmy twierdze
byłem Lancelotem i pokonanym królem Arturem
byłem Don Kichotem byłem Aleksandrem
Macedońskim
weź mnie do siebie koniku bujany
niech ten obraz dalej trwa
pomimo że inny obraz jest trwalszy
głębszy bujany fotel mego dziadka
babcia lepiała pierogi weź mnie do siebie
koniku bujany
na twoim siodle bujam się kręcę zdobywam
dzisiaj okręty wymachuję maczugą zabijam
kucharzy książką kucharską jestem zbyt wysoki
na ciebie a ty zbyt niski by dać mi jeszcze jedną
szansę

oddychaj goń złap muchę i się kręć
w tamtym pokoju żyją dawne święta
kapie pomarańczowa mżawka kipi czajnik
na stole zielona herbata czerwony deszcz
gorące kakao

wygonieni przyjaciele zostają
wygonione światło zostaje
tli się ciemność kipi świat

„W DOMU MOJEJ BABCI”

W domu mojej babci
dywan wisi nad łóżkiem
fotel drzemie w objęciach wielkiej szafy
ściany oddychają snem starych przodków
znów są w pokoju pradziadek i prababcia
pradziadek krząta się szukając okularów
czyta później gazetę w wygodnym fotelu
prababcia wychodzi do kuchni odłożywszy książkę
wszystko pożera przeszłość
teraźniejszość została pożarta przez pamięć
widać białe puste dziury na ścianach
to ślady nie napisanych historii
kim mogli być pradziadek i prababcia
gdyby nie byli tym kim byli
dwoma pajakami snującymi swą sieć
nad łóżkiem mej babci
sieć w którą wpadają wspomnienia
zrobione z wielu oddechów i starych fotografii
mój pradziadek i prababcia dalej tam są
chodzą po pokoju połykają drobne owady czasu
są trawieni i trawią
a ja jestem trawiony
przez ich wszędobylską nieobecność
dwa nieomyślne pajaki
jedna przestrzeń
i rozmnożony w przestrzeni prawnuk
szukający własnej sieci.

„STRACH LUDOJADA”

boję się o moją
maleńką trumienkę

kładę w niej gazety
pociągi przejeżdżają
przez ciemne arterie
bukowego drzewa

a kiedyś wszystko
było takie jasne
byłem hersztem młodocianej
mafii ścigałem dziewczyny

dzisiaj boję się jedynie
o świat wewnętrzny

tak wszystko gaśnie
choć świecę zapałkami

po co was zjadałem
dobre ognie
czemu byłem taki chciwy
pazerny nienasycony

teraz moja przeszłość
spoczywa w otwartej trumience
teraz mogę pokazać
swoje zęby
ze strachu że wszystko się skruszy
porąbię moją maleńką trumienkę

„PODRÓŻ ZIMOWA”

w grudniowym wirze okamgnień
wśród ciemnej pustyni zimowego wiatru
w łachmanach przymierzonych zbyt szybko
trzymając ręce w podartych kieszeniach
szedłem trzymając gorące twarde jabłka

pośród przestrzeni a mną nie była łatwych znaków
które mogłyby odczytać wyrocznie lub wróżki ze szpitali
psychiatrycznych była jasna perłowa zima wydymająca usta w
niemym
uśmiechu dzikie szklane oczy przechodniów trącały znojem
dawno odgadnionych krain, niemytej pościeli, wybielonych tajemnic

na korytarzu zastygały lampy tliły się niedopałki
do płatków śniegu uśmiechały się duże dzieci z poranionym
pejzażem
wewnętrznym z którego nic nie dało się uratować
prócz gorliwie odmawianych koronek do Miłosierdzia Bożego
dopóki okręt nagłych świtów nie porwał ich z powrotem w pościel

zimową którą starannie układały fale białych słońc
byłem ostatnim który dotarł na obiecane miejsce
między łóżkiem wiecznej rozkoszy a krzesłem dozgonnej udręki
zawieszony choć jasne strumienie ciszy podpowiadały inną historię
z czerwonym niebem w tle na miękkim piasku gdzieś nad morzem
śmiertelni palą ostatnie papierosy ze swych ostatnich paczek
w oddali słychać porykiwania kutrów jęki mew.

„BYŁ PEWIEN POETA”

ściekają atramentowe łzy na zeszyt w kratkę
taki stary socjalistyczny zeszyt który wciąż pachnie
zawartość jego jest potężna tam czał się dobro i zło
strachliwe skurczenie kolan na przerwie i głowa w kolanach

czy tak wygląda młody poeta który mógłby być młodym bogiem
tak wyglądają potomkowie pięknookiej Kaliope
niebieskie oczy i czarne włosy przyciągają dziewczęta
zapatrzone w demony sukcesu sukces wewnętrzny przyciąga
bardziej

trzymał się z boku często milczał i cały czas pisał
chodził na przyjęcia dla młodych poetów pił wino
z czasem przyjaciele mieli mu za złe jego talent
więc rychło zbliżał się czas konania na mroźnych pustkowiach

ciężarówka wydobyła się ze świtu jak stuletni olbrzym
przejechała obok jego skrzydlatych stóp kierowca pokazał język
to rzeczywistość się mizdrzy w lusterkach notuje ptasi ból
a na jego dziobatej twarzy upadłego cherubina rozgościło się światło

trawa i mleczko były spokojne niebo dumało nad czymś losem
przechodził stary poeta z fajką w zębach zapraszał
na ławce było sporo miejsca geniusze są jednak dalej
stałem obok robiłem notatki na wyblakłym papierze snu

ból nie miał przystępu bo był schowany w środku
zamknięty w szufladzie w której znajdują koperty
małe tęcze zgąsłe promienie czarne kredki zachwyty
nigdy go nie poznałem bo nie poznaje się łatwo czarnych aniołów

w królewskiej księdze szkoły ktoś dokonał zabawnego wpisu
trzy wyrazy stały w rzędzie jak kasztany kocham kocham kocham
pamiętam jak mój mistrz czytając je śmiał się i płakał na przemian

„MÓJ MISTRZ”

mistrz nosi w futerale światło
zagląda do pokoju gdzie hoduje kamienie
każdy kamień ma swoją historię każdy jest ułomny
jak ułomne są dłonie mistrza gdy próbuje mnie rzeźbić

potykam się o jego słowa są ostre jak grzech
forma z której ulatnia się dym kawa której nie wypiję
to nazwy doskonale puste jak brzącały cymbały
a mogły być wizją zapisaną w wypalonych trawach

w spalonych liściach snu proszę mistrza o dar prorokowania
o strzeliste wizje na bolesnych wydmach o zapach
cmentarza w godzinę szczytu psów o źródło o łaskę
lecz on pozostaje nieugięty pokazuje biały korytarz

w białym korytarzu spotykam stolik na stoliku wazonik
z kwiatami pielęgniarzy są senne kiwają nogami
z radia dochodzi głos przepowiedni potem zagrają beatles

a mnie już pora do palarni palić ostatniego papierosa

przed snem dobrze umyć ręce ciemność połyka wszystkie sale
dłonie mistrza są białe starannie obrane z pyłków
siadam na krześle liczę kwiaty z braku lepszego zajęcia
mistrz siada ze mną dzieląc chaos na fragmenty oswaja nicość

Bartosz Baran

* * *

Nie lękaj się
Swej słabości
Gdyż Twa ukryta Wiara
Jest silniejsza od strachu
Twoje przeznaczenie
Staje się marzeniem
Nadzieja nadchodzi z daleka
Nie lękaj się
Bo sens życia
Tkwi w chwili
Twego istnienia

* * *

To co miało dla mnie sens
Odeszło w zapomnienie
Jak kamienie
rzucane na drugi brzeg
Nie ma już znaczenia chwila
mej słabości
Trudno zapomnieć
Odblask tęczy naszych uczuć
Odeszło ostatnie tchnienie motyla
To co miało dla mnie sens
Zginęło jak rysy twojej twarzy
Którą widziałem w lustrze przeszłości
Nie ma już okna na tamten świat
Nie ma już ludzi
Chodzących w tym samym kierunku
I nie ma serc
Bijących tak samo

* * *

Pięknem wspomnień uderzam
W najgłębszy punkt mego cierpienia
Zakrywam wszystkie oczy
Patrzące na dotyk łez
Wyzwalam ciepło z mej dłoni
I uciekam w Dolinę Cieni
Tam gdzie nie dosięga nawet
Błask naszych dni

* * *

Pocałunkiem ciszy
Budzę twój zachwyt
Otulam cię odrobiną niezgasłego uśmiechu
Byś mogła rozprostować ramiona
Swoich niewypowiedzianych słów
Chcę ci pokazać coś więcej niż łyż czasu
Więcej niż oddech białych róż
Pocałunkiem ciszy
Oddaję ci ciepło na dłoni mego serca
Wzrastam z tobą w naszym marzeniu
Czekam na wschód słonecznego uśmiechu
Budząc twój zachwyt
Otulając, będąc.

* * *

Pomiędzy ciszą a zgiełkiem
porozrzucanych chwil
Tkwią ślady twoich wczorajszych łez
To co znasz co ma wartość jest owiane
tajemnicą twych niedokończonych słów
Pomiędzy blaskiem nadziei a oddechem gniewu
Wyrasta twój świat
Kolorowy, delikatny, bezmroczny
Nie budząc podejrzeń
Zrzucasz resztki wspomnień
z ramion obciążonych prośbami
Ukrywasz twarz obarczoną winą
Tulisz się do uśmiechu dnia
W spokoju ducha podziwiając świat
Jesteś !!!

Agnieszka Węgrzyn

„ZADUMA”

wbijam delikatnie nóż
zdajesz się mówić boli nie słyszę
powoli zaczynam zdierać skórę
wolno dokładnie kawałek po kawałku
dlaczego nie krzyczysz
wrzeszcz drżysz
nie udawaj że cię to nie obchodzi
dobrze poznaj mnie
nagłym szybkim ruchem kroję cię
na dwie równe części
nadal milczysz
czerwona ciecz wszędzie
czerwone moje ręce aż po łokcie
płacz krzycz przeklnij
łyżką wyciągam twoje wnętrze
wszędzie czerwień z ciebie
ile jeszcze bólu zniesiesz
twoje poćwiartowane ciało wrzucę do miski
i sięgnę po następnego
może będzie lepszy
przeklnie jęknie zacznie płakać
zabiorę mu życie którego tobie brakło
nie jestem sadystą
ja tylko w ciszy kroję pomidory.

„STUDNIA”

i znów szyderczy słyszę śmiech
obelgi znów trafiają we mnie
kłamstwa i zdrada
i nie czuję już nic
nie potrafię kochać
nie potrafię żyć
trwam
oby być o tę sekundę dłużej
jeszcze chwila a będę wolna
wrócę sama do pustki mych myśli
z każdym dniem spadam coraz niżej
w studni bez dna
odsunięta na koniec świata.

Krzysztof Maniak

„POPOŁUDNIE”

Twoje rozumowanie jest błędne
Nie myślisz wcale o jutrzejszym świecie.
Zwykły, kolejny, szary, śmiercionośny Poniedziałek!
Kolejne pięćdziesiąt dwa zawały serca -
Liczone od ostatniej północy.
Żeby łagodne przejście.
A skąd od razu głęboka woda – szok termiczny mózgu.
Na Twe i moje nieszczęście.

Patryk Brożek

„LIBIDO”

Nieszczęście
największym szczęściem Ci będzie
w osobliwym świecie bez snów.

Ze śpiącym samobójstwem
ukrytym w tubie respiratora
pod lekami.

Tam ujrzysz swe ciało
przykute do łóżka
a Ty wolnym pod sufitem będziesz
na srebrzystej pepowinie.

Robert Stańczyk

„DZIECI MAŁEJ WIARY”

nie wzywał ich
a poszli za nim
i błagali
by przygarnął samotnych
bez ojca bez matki
i zaczął przemawiać
a byli jak dzieci
więc mówił
o kwiatkach o ptakach
o domu skąpanym w błękicie
pokazał im cuda
wielkie zwyczajne
chleb i wino czynił
chodził po wodzie
oczyszczał uzdrawiał wskrzeszał
a byli jak dzieci
otwierali oczy
lecz tylko ze zdumienia

płakali za nim
gdy szedł na zmarnowanie
dla nich

i wspiał się na krzyż
tuląc żywe drewno do siebie
zaszłochał
bo byli jak dzieci
bo chociaż pokazał im drogę
wciąż próbują wetknąć
swoje ubłocone dłonie
do rozwartej rany na piersi
i zobaczyć poczuć
miłość i niebo
przez dotyk

„ZAPOMNIEĆ”

Zapomnieć
zapomnieć, choć raz
szarość bloków przefarbowaną
drzwi zatrzaśniętych systemy
gamy obelżywych dźwięków
tkwiących w uszach jak szpilki

Zapomnieć
zapomnieć, choć raz
galerie pośmiertnych masek
obojętnych obcych fałszywych
flakony ust wypełnione jadem
co zieleni i złoto zabija

Zapomnieć
zapomnieć, choć raz
ogrom śródludzkiej samotności
potężny ból duszy
odmienności cierniem ukoronowanej
i własnego krzyża ciężarem

później
stań boso wśród traw
i tańczyć

„O WIERSZACH”

wszędzie tam

gdzie cokolwiek i czegokolwiek nie ma
gdzie ja, gdzie ty, gdzie on i ani żywego ducha
gdzie wojownicze okrzyki i kochanków szept
gdzie pies z kulawą nogą rodzi się i zdycha
gdzie miłość własna i samougnębiecie
gdzie ślad po nadziei i wiara po śladach

zawszą

dzięki temu

i pomimo tego

płyną wiersze

jak filary świątyni i zwałony dach chałupy
jak serce matki i przekleństwa ojca
jak wybuch wulkanu, jak bryły lodu
jak kropla, jak źródło, jak rzeka i morze
jak tarcza, włócznia, jak pięta Achillea
jak śmierć na początku i życie po końcu

to mowa duszy

a narzędziem słowa

„KRAJOBRAZY SAMOTNE”

Zacierają się ślady na dywanie
rusza szeptów defilada
utopione w ciemności milczenie
na głos odczytuje
szelest myśli
jak drżenie liścia paproci
albo samoistne falowanie firanek
z kuchennego kranu
wycieka cisza
ten sam krajobraz
cztery ściany
to samo niebo otynkowane
i ta sama samotność w opakowaniu
tylko bezsenność zgęstniała
tworząc tłok
w puszcze z koszmarami

Mateusz Stańczyk

„SKÓRA”

Witajcie w moim świecie
stworzonym przez strach
śladami dobra i zła
gubię się w twym pokoju
wieszam swe bóle na twojej twarzy
żyć twym oddechem
nie dam rady tak dłużej
Spróbuj znaleźć się w mojej skórze
spróbuj podążać moimi krokami
spróbuj znaleźć się w mojej skórze
a zatracisz siebie
Nie potrzebuje przeprosin
za to kim jesteś
za to co zrobiłaś
nie potrzebuje przebaczenia
za to kim jestem
za to co zrobiłem
popatrz na mnie
Spróbuj znaleźć się w mojej skórze
spróbuj podążać moimi krokami
spróbuj znaleźć się w mojej skórze
a zatracisz siebie
Chciałem zrzucić Twój zapach
z mego ciała
gniło me serce
gniła dusza
siły już brak
musiałem sobie pomóc
strzałem w słaby łeb
Spróbuj znaleźć się w mojej skórze
spróbuj podążać moimi krokami
spróbuj znaleźć się w mojej skórze
a zatracisz siebie

„KARTKA Z PAMIĘTNIKA”

Słońce zaczyna rysować nowy dzień
trzeba rozbudzić letni sen
iść drogą wyznaczoną przez los
nie bać się być sobą
błądzić grzesznymi nocnymi ulicami
pod prąd podążać ze swymi myślami
choćby nagle powiał wiatr
nie dać się stłamsić
nie dać się zgnieść
w potoku spraw
odnaleźć siebie
i dotrzeć tam
gdzie tylko nieliczni
zatrzymać się
zmrużyć oczy
odpocząć...
w jasnym świetle
stać przed Tobą
otworzyć drzwi
i zniknąć.

„NIECHĄCY...”

Stojąc na deszczu
w kałuży swoich marzeń
nie obiecywałem
że będziemy na zawsze
księżyc zaczął
przykrywać swym blaskiem
zwykle pocałunki
niechcianych ludzi
wciąż jesteśmy dumni
z tego kim jesteśmy
wciąż jesteśmy dumni
z małych zbrodni
wyrządzonych temu światu.

„4³⁵”

Zbudził się człęk
ze zgliszczy swojego życia
promienie słońca
przebijające się przez szyby
zbrudzone kłamstwem
szukały dnia – w oczach
porzucił swój świat
i pytał się wciąż
czy dobrze robi
rodząc się znów
zaczął iść przed siebie
drogą wyznaczoną przez los
błądził
błąkał się w sobie
bo znikąd
nie płynęły odpowiedzi.

Andrzej Młeczko

* * *

Popatrz na mnie
Widzisz jak każda z mych myśli
Gryzie i szarpie w swoją stronę?
Proszę podeprzyj mi skroń

Popatrz na mnie
Widzisz jak zaciskam z bólu pięści
By uchronić to co mam najcenniejszego?
Proszę uspokój dłonią me serce

A gdy już wszystko minie
I pozostanie smak znużenia
Może po prostu mnie zabij
By to nie powtórzyło się więcej

Dariusz Romanowski

„W PROSTYCH SŁOWACH WYRAZIĆ...”

W prostych słowach
Wyrazić istotę zdziwienia
Tym że ziemia się kręci
I że człowiek podobno
Jest istotą rozumną
A życie nie kończy się
Tutaj tylko rozpoczyna
I dziwić się wciąż
Nadal i od nowa
Że po zimie wiosna
A po lecie jesień
Że kot miauczy
Pies szczeka
A żaba rechocze
I że kwitną kwiaty
I że rosną drzewa
A na niebie Słońce
Księżyc oraz gwiazdy
I że ludzi przybywa
Tam po drugiej stronie
Chociaż po tej wcale
Nie robi się luźniej
W prostych słowach
Wyrazić istotę poezji

„WSZYSTKO W PORZĄDKU JEŚLI...”...

W przede dniu
Przyśnionej chwili
Która wcześniej
Czy później
I tak nastąpić musi
Wszystko wydaje się być
W jak najlepszym porządku
(Jeśli istnieje jakiś porządek)
I choć miało być inaczej
(Jeśli mogło być inaczej)
Nic nie dzieje się bez przyczyny
(Jeśli są jakieś przyczyny)
Może łatwiej będzie odejść
(Jeśli łatwo się odchodzi)
I na nowo zacząć tam
(Jeśli jest jakieś tam)
Wszystko to czego tutaj
(Jeśli czegoś tutaj)
Nie udało się zakończyć
(Jeśli to się może udać)

„SEN NOCY DZISIEJSZEJ”

A oto
Ciało Twoje
Twoja Krew
Nasze łzy
Na znak
Nocnego sennego
Przymierza
Jednej nocy
I chociaż w ułudzie
Aż nazbyt realny
Brak perspektyw
Na przyszłość
To jednak żal
Tych niewypitych
Czar goryczy
Chwil które nigdy
Nie są wieczne
Dni które zawsze
Już nie dla Nas

Michał Piętniewicz

„KRÓTKA PODRÓŻ DO KRAJU CZERWONEGO SNU”.

Nie do wiary, ale od początku swojego istnienia kochałem poezję. Podejrzewam, że kochałem ją nawet jako embrion. Być może matka czytała wtedy któregoś z wieszczów, może recytowała „Stepy akermzańskie”, nie wiem, ale już jako embrion pewnie galopowałem na koniu poezji w krainy ułudy, w krainy mroźne, w krainy wichrów, które nie przebaczą największym nawet śmiałkom. Ale do rzeczy, matka moja nie czytała Mickiewicza, gdy byłem embrionem, gdy rozwijałem się jako płód i gdy coraz bardziej chciałem (a może wszystko było mi jedno), przyjść na świat. Matka moja nie czytała Mickiewicza, bo czytała Dostojewskiego. Ale czy to nie wszystko jedno? Ważne, że cokolwiek wtedy czytała i że miało to niebagatelne skutki na kształt mej przyszłej, duchowej konduity. Jako dzieciak bowiem lubiłem patrzeć na świat przez okulary bardzo czerwone. Ja wiem, że tutaj tkwi sprzeczność. W końcu Dostojewski jest niezwykle ciemny, a ja z tymi czerwonymi okularami... Otóż płyny intelektualne mieszają się w sposób różnoraki i w sposób przyprawiający o drżenie ludzi odważnych, płyny duchowe innymi słowy, sprawiają niebanalne niespodzianki. Czerwone okulary, czerwone okulary, jakby tu opowiedzieć o czerwonych okularach. Boże, przecież ja dopiero teraz dojrzałem do decyzji, aby w końcu je założyć. Aby rzeczywistość mojego dzieciństwa, aby ten czas odległy i mityczny ukazać przez takie okulary, które świecą na czerwono. Ale dlaczego akurat na czerwono? Ba, gdybym to ja wiedział... Czerwono wygląda mój pierwszy zjazd ze zjeżdżalni, czerwono huśtam się na huśtawce, czerwono całuję moją pierwszą, wielką miłość, czerwono piję herbatę i czerwono jem chleb ze smalczykiem, który przygotowała mi mama. Mój Boże, wszystko wygląda czerwono. Krainy dziecięce to azyl ciepła, ale i kraina, gdzie dochodzi do wielu przełomów, być może dlatego ten kolor krwi, ten kolor najbardziej żywy ze wszystkich kolorów wybrałem, aby przekornie oddać ten świat niesłychanie sztuczny, który jest jedynie dziełem mej wyobraźni. Wszak to, co sztuczne potrzebuje niezmiennie tego, co żywe, by móc spokojnie, bez przeszkód oddychać, a oddech przecież jest warunkiem poezji, poezja nie

pisana na oddechu jest poezją intelektualną, poezja pisana na oddechu jest poezją natchnioną, a do tego może być też intelektualna. Kto wie jednak jak to jest naprawdę. Przecież i intelektualista musi oddychać, żeby zawrzeć swój byt gdzieś tam (celowo nie mówię gdzie, celowo nie mówię jak), ale powiem coś: intelektualista, który nie stanie się dzieckiem na chwilę pisania wiersza nie ma szans być poetą. Bo poeta to bardzo dojrzałe dziecko, które wciąż się z dzieckiem dawnym próbuje bezskutecznie połączyć i ta daremność wysiłków właśnie warunkuje jego byt jako artysty. Bo osiągnąć coś, napisać, dać kształt skończony i ostateczny jest niezmiernie łatwo (każdy totalista to potrafi), natomiast nie skończyć czegoś, urwać coś w połowie, nie wysuwać hipotez, nie tworzyć konkluzji, jest działaniem piekielnie trudnym dla tych, którzy zamieszkują zimne krainy doskonałości i skończonych pełni. A o mnie wszystko można powiedzieć, tylko nie to, że moje wiersze są doskonałe. Cholernie dużo im brakuje do doskonałości, ale właśnie dlatego lubię je pisać, bo ja doskonałości nie ufam, ufam za to zygzakom na szkle, nutom porozrzucanym w pokoju muzyka, przewróconej szklance wina, butelce piwa, z której wycieka brunatny płyn na stole i tak dalej. Szukam inspiracji w tym, co jest dalekie od formy skończonej, w tym, co jedynie w sposób bardzo ułomny zmierza do bytu, zmierza do jakiegoś zaistnienia, ja nie wierzę elegancki pokój poezji, ja wierzę w żywy oddech materii i mit. I ten mit, na który patrzę przez czerwone okulary, znowu wszystko robi się czerwone i bije jak serce, pompuje krew. Z Alanciem idę przez park, potem z Lewym i jego dziadkiem pieczemy ziemniaki, jest chłodno, ale grzejemy ręce i ten cholerny park, któremu nie mogę dać rady, który mnie prześladowa przez całe dzieciństwo i prześladowa mnie też teraz, to jednocześnie azyl i cela dla mojej wyobraźni, bo ja poza park mojego dzieciństwa właściwie jeszcze nie wykroczyłem i myślę, że nieprędko wykroczę. A mogłem w końcu gdzieś wyjechać na dłużej, mogłem się odciąć od tego parku, powstałaby biała pusta dziura między mną, a parkiem i wróciłbym po długim czasie nieobecności i zacząłbym odtwarzać na nowo, a tak... Tak już jest zużyty, zdezelowany jak samolot i karuzele które kręcą się napędzane jedynie siłą trybików mojej wyobraźni, to ja je kręcę, to ja im nadaję ontologiczny status, ja je powołuję z niebytu do bytu, ja je ożywiam, ale one są ledwo żywe. Im więcej parku we mnie tym

mniej w tym parku życia. A kiedyś przecież był on żywy. Chodzili starsi panowie dookoła stawu, płynęły strumienie błotne, śnieg był mokradłem, topielice w nim miały swoje mieszkanie, lód na stawie był kruchy, można było wpaść do środka zimnej wody, ale i tak wszyscy się ślizgali, zakładali łyżwy albo po prostu w butach hen daleko koło mauzoleum Józefa Bema, a potem te dziewczynki z kokardkami i chłopaki, które były się śnieżkami i babcie stojące na brzegu wołające: nie oddalajcie się, nie oddalajcie się i dziadkowie z kromkami chleba dla zapomnianych łabędzi i mamusi i tatusiowie, którzy pilnowali wózków, a przecież w zimie zimno dzieciom w wózku, choć opatulone. Ech, gdyby taki wózek zjechał z górki śnieżnej w parku, gdyby toczył się jak w amerykańskiej komedii, a dziecku i tak nic by się nie stało. Wózkiem moim były sanki, a czuwał nade mną pan w brązowym płaszczu, wysłannik. Dzisiaj go tak nazywam, wcześniej był zwykłym parkowym dziadem przynoszącym miłość do parku, wchłaniającym dziecięce śpiewy, w jego brodzie zamieszkały okruszynki śniegu, w jego rękach z dziurawymi rękawiczkami spoczywały ogryzki z jabłek, no i niósł gazetę i zawsze ją czytał, czytał aż do zmroku. A przede wszystkim jeździł ze mną na sankach. Pilnował mnie, abym nie upadł, abym nie wylądował boleśnie na tyłku, jeździł ze mną, turlała się jego dojrzała wyobraźnia jak stary owoc, jak owoc nadgniły, ale przez to wydzielająca specyficzny zapach, zapach nadgryzionej przez czas zimy, zapach naczyń, których dawno nie używano, starej kawy, herbaty i ciastek, zeschłych ciastek. No i zaprosiłem dziada parkowego do domu mojego prawdziwego dziadka, jakież to był spektakl dwóch dziadków. Jeden poważny grzebiący w narzędziach, bujający się w fotelu, dziadek filozof, dziadek wzięty z krain realności, drugi dziadek z bajki, zwariowany dziadek, opowiadający ponure dowcipy o swoim królestwie śniegu, dziadek bajkowy, mieszkał w chatce, której nikt nie widział, podejrzewałem go przez długi czas o nieistnienie, ale później mi przeszło i zaakceptowałem jego ułomny status między tym co jest, a tym, czego nie ma. I tak gwarzyło dwóch dziadków i płatki śniegu padały na parapet a ja byłem cały z brązu i czerwieni i siedziałem i słuchałem ich i byłem zachwycony ich śmiechem, ach jak oni się śmiali, ich śmiech biegł do granic słyszalnego, wypłaszał wszystkie ptaki okoliczne, aż w końcu ktoś ten śmiech usłyszał i na oknie mego prawdziwego

dziadka wylądowała pomarańcza, rozpląściła się i wybiła szybę, przecięła ją, szyba pękła. Dziadek bajkowy wziął tą pomarańczę, spróbował jej i powiedział wyśmienita, ale dziadek prawdziwy poszedł po taśmę klejącą, a na następny dzień zadzwonił do szklarza, żeby szybę wymienił. To były piękne czasy, tylko wspominać i wspominać w nieskończoność, aż mnie plecy rozbolały, konie po mnie zajechały, pakować mi się już czas, bo przeskoczyłem o jedną wioskę, trzeba się wrócić do innej wioski pamięci, gdzie jest ta wioska, gdzie jest właściwa moja pamięć....

Prawdziwa moja pamięć jest w gorącej czerwieni zimy. Wracalem wtedy z przechadzki z rodzicami i z babcią i natknąłem się na twór kosmaty i przypominający z wyglądu czeluść. To mogło być materialne i dotknąłem tego, ale nic się nie stało. Widocznie to coś nie istniało, a ja jedynie nadawałem nazwy ułomne, nazwy kalekie. Ale właśnie wtedy do mnie zapukała iskierka światła i pomyślałem sobie, że mogę sobie urządzić dzisiaj święto. Zjeść coś niezdrowego na kolację, na przykład smażone frytki, a potem je posolić i koniecznie pooglądać telewizor, albo te filmy na rzutniku, filmy bajkowe, tak jak bajkowy był dziad z parku, parkowy dziadek, brązowy lisek, pan, który mnie strzegł przed złymi mocami. Właśnie wtedy pokochałem poezję.

Pokochałem ją nic o niej nie wiedząc, nie przeczuwając jej potęgi i tajemnych mocy, ja po prostu dałem się uwieść chwili. Odtąd zawsze dawałem się uwodzić chwilom, jadłem chwilę jak marchewkę, trochę była twarda, ale równocześnie bardzo słodka i soczysta na swój sposób. Wszędzie dawałem się uwodzić chwilom. Na kole młyńskim w wesołym miasteczku, odbijając balonik z babcią w jej dużym mieszkaniu, grając w karty z moją drugą babcią, grając w szachy z oboma dziadkami, czytając książki, pisząc pierwsze litery i tak dalej. A nade wszystko dawałem się uwodzić chwilom, kiedy już mi na niczym nie zależało, kiedy zostawałem zraniony. Bo, kiedy zostawałem zraniony, najsilniej doświadczałem działania poezji i zdawałem sobie sprawę bardzo powoli (jeszcze ciągle nieświadomie), że prawdziwa poezja jest bólem, nie tylko snem jest, ale i cierpieniem. A często byłem raniony, bo łatwo było mnie zranić i często kopałem swój ból w ziemi i nie chciałem pocieszyciela, bo wolałem z tym swoim bólem sam na sam zostać i po cichu go oswajać i dogadywać się z nim i zagadywać go i wreszcie

przekształcać go w radość. Ale czasem... Czasem nie dawało rady, bo do radości potrzebny jest drugi człowiek, a ja byłem uporczywie sam, uporczywie tkwiłem w tym, czego nie lubiłem i to mnie bolało i ból płynął małą czarną rzeczką i tak powstawały pierwsze nie zapisane wiersze, poezja rodzi się z bólu....

Ale czasem byli blisko mnie przyjaciele i nie byli już tak bardzo okrutni względem mnie i wtedy cieszyłem się i rosło we mnie pragnienie zapisania mojej radości, aby nie temu co widzialne stało się zadość, lecz, aby oddać sprawiedliwość temu, co niewidzialne. Niewiele zapamiętywałem z wycieczek szkolnych, przeważnie śpiwór Czyża, z którego emanowało ciepło od bąków, które Czyż popuszczał w nocy, opowieści Maćka o tajemnicach dziewcząt i mój śpiwór w płamki, który był zimny i nie mój, chciałem spać w innym śpiworze, ale byłem akurat skazany na ten cholerny, lodowaty w płamki moro. No i cichła sama nieskończoność, gdy tańczyłem wolny taniec z drugą miłością mojego życia i na chwilę ucichł nawet stary dziad parkowy, gdy skradłem kiedyś całusa mojej drugiej miłości pewnego grudniowego popołudnia, gdy już robiło się ciemno. Niewiele pamiętałem z wycieczek szkolnych, podróży było wiele, ale najwięcej zapisałem na niewidzialnej tablicy. Właśnie: na niewidzialnej tablicy serca. Dzisiaj ją odkurzam i widzę wszystko jasno, jak na obrazie i daję zadość widzialnemu, bo wyobraźnia karmi się jedynie obrazami.

Ale dość. Przyjechała po mnie rykszą. Kolejna miłość mojego życia. Pora mi okrążyć rynek i złożyć hołd wieszczowi, któremu tyle zawdzięczam i który był bohaterem chyba najważniejszej, niewidzialnej podróży mojego życia. A zatem wypływam z krain snu do kraju realności i jest mniej czerwono, a bardziej deszczowo, parasole idą w górę, ktoś się zaślania kapturem, pod empikiem chłopaki dzwonią do spóźnionych dziewcząt, w mojej ulubionej knajpie już dawno pogasły świece, idzie powoli świt. Czy ode mnie zależy jak żywy będzie? Czy może to świt sam o sobie zdecyduje. Tak, od najmłodszych lat kochałem poezję nic o niej nie wiedząc. Teraz wiem niewiele więcej i próbuję wrócić do dawnego poety, bo jak długo można tkwić w tej samej pozycji patrząc w zamazane odbicie. Dlatego, że zamazane, dlatego kulawe, dlatego ledwo żyje. Idzie dziad parkowy z ogryzkiem w ręce, a mnie się skryć pod koc i śnić.

Nie umiem opisać tej knajpy. Na bank wiem, że rośla ona na marzeniu jak każda knajpa, którą odwiedzam. Ta jednak różniła się od innych knajp. Położona jest w urokliwym ogródku wewnątrz zielonego domku z niedużym tarasem, na którym rozciągnięty jest hamak. Najczęściej leżą na nim wypełnieni po brzegi trunkiem pijacy i kontemplują swoją klęskę w zmaganiach z kolejnymi kuflami piwa. Tak się chyba stało, że wypili o jeden kufel piwa za dużo i jedna filiżankę herbaty za mało. Brzuchy ich miarowo wznosiły się w górę, a potem opadały z ciężkim pomrukiem, gdy tak spali, brała ich noc w swoje dłonie, a oni śpiąc nie zdawali sobie sprawy z tego co się dzieje w knajpie, w jej wypełnionym gwarem rozmów, dźwiękami gitar i śpiewami wnętrzu. Spali tak do rana, a gdy wstawali, świt witał ich zaspane oczy, kładł im na twarzy swoją przeźroczystą dłoń, a oni, jak za dotknięciem różdżki czarodzieja, wstawali na równe nogi by dzień przywitać kolejnym, a może raczej należałoby powiedzieć, pierwszym kuflem piwa.

Odwiedziłem tą knajpę, ponieważ wiosna dawała mi wyraźne znaki, abym udał się w te rejony ciemne i zakazane, skażone bajkową herezją, regiony, w których dochodzi do pojednania marzeń z rzeczywistością. Przybyłem tam sam, nie miałem nadziei, że spotkam tam swoją miłość czy wesołego, a mądrego kompana do rozmów, chciałem przekonać się jak smakuje samotne piwo pośród ogólnego zgiełku. Nie udało mi się jednak go wypić samemu, ponieważ przysiadł się do mnie człowiek w średnim wieku i zaczął opowiadać o zniszczeniach jakie poczyniła w jego ciele i duszy nieuleczalna, śmiertelna choroba. Mówił mi, że zasłużył na nią, że od dawna spodziewał się takiego obrotu sprawy, że Bóg w swym nieomylnym, precyzyjnym planie już dawno wyznaczył mu taki a nie inny przebieg losu. Słuchałem zaaferowany tych wyznań, coraz bardziej pragnąc poznać prawdę ludzkich przeznaczeń, czasem, jak mi się zaczęło wydawać powikłane koleje ludzkiego losu tworzą baśń wesołą, kolorową i fertyczną, ale o zakończeniu niestety smutnym. Człowiek ten skończył swój wywód i zapalił fajkę, a obłoczki dymu mieszały się ze światłem knajpianym tworząc wrażenie chwili długo oczekiwanej, chwili, w której ziszczają się pragnienia i fantazje. Knajpa powoli pustoszała, stali bywalcy, mocno już podchmieleni, odeszli by odbyć swój tradycyjny sen,

gitary ucichły, a barmanowi zaczęły lepić się oczy. Współczułem memu kompanowi nieuleczalnej choroby i stopniowo wrastałem w cielsko jego marzenia, odgadywałem konfigurację jego duszy, przewidywałem niedaleką przyszłość.

W niedługim czasie przyjdzie do tej knajpy bajkowy święty ubrany na biało, w czerwonej czapce i niebieskim szalu, położy swe nieskalane, bezbłędne dłonie na chorej głowie mego kompana i odmówi uroczyste zaklęcie, które wyzwoli go z choroby, na którą zapadł. Potem wolny od choroby człowiek ów wyjdzie na powietrze mokre od mgieł porannych i odda się powolnemu, falującemu przebiegowi dnia – zostanie ozdrowieńcem i opíše swoją historię w wielu baśniach i mitach oprawionych w stare foliały pradawnych historii.

Robiło się coraz bardziej późno, bajkowy święty nie przychodził, a mój kompan kasłał coraz bardziej, coraz bardziej bladł i systematycznie zmniejszał się. Był przy tym tak bezczelny i opryskliwy, że z trudem znosiłem jego towarzystwo. Opowiadał mi historie o swych nieudanych miłościach, klęskach, zawodach i upadkach, wymagał ode mnie niesłabnącej uwagi, a ja próbując uwolnić się od niego jak od uprzykrzonego natręta, rzucałem mu w twarz najbardziej obelżywe inwektywy i coraz bardziej pewien byłem swej mocy. Z każdą inwektywą bowiem kompan mój stawał się o centymetr niższy a ja przecież rozpędzałem się coraz bardziej w swych obelgach i wnet doprowadziłem do sytuacji, w której rozmówca mój był maleńki jak ziarenko popiołu, a ja tylko strząsnąłem do z dna popielniczki na ziemię i przydusiłem dodatkowo butem.

Twarz moja czerwona była od wisielczego humoru, unicestwiłem tego człowieka mocą mej nienawiści, słów, które zamieniały się w baśniowe pociski, słów, które wysyłałem w kosmos duszy, której szczerze znienawidziłem. Mój śmiech serdeczny, oszalały, wypełnił całą knajpę, oto straciłem przyjaciela wołałem na cały głos, zobaczcie jak do twarzy mi jest z tą stratą, krzyczałem beładnie tańcząc z piwem na środku sali przy głuchych dźwiękach wszędobylskiej ciszy. A potem...

Potem siadłem usiadłem wyczerpany na kanapie przy stoliku i zamiast ukryć twarz w dłoniach jak to zwykle czynią bohaterowie, których obowiązują fabularne i psychologiczne prawa przejścia od

radości do smutku, od afirmacji do negacji, stałem się wesół jeszcze bardziej. Z rozanieloną miną wypilem łyk piwa i ogarnąłem wzrokiem figlarnym opustoszałą salę i zacząłem w najlepsze bębnić palcami o stół myśląc jak to znakomicie uporałem się ze zbędnym, beznadziejnym materiałem zaklętym na chwilę w formę knajpianego marudy. Zapraǳiałem większej ilości takich przygód, rosnać we mnie zaczęła chęć bezwzględnej anihilacji osobników gorzej uposażonych ode mnie pod węglem możności odpowiedzi atakiem na atak. Pełen werwy zerwałem się od stolika i wyszedłem przed zielony domek budząc zaspanego pijaka wlewając mu przez ucho nieprzerwany potok bluzgów na temat jego nędznej i niegodnej pozazdroszczenia konduity. Pijak usłyszawszy to, potar mosił najpierw nieprzytomnie swoją bujną brodę, potem szybkim ruchem przetarł zaspane oczy, a później, całkiem już uspokojony, spokojnym gestem człowieka wybitnie pewnego siebie odebrał ode mnie mój kufel piwa, wypił jego zawartość i ruchem bezbłędnym i nieomylnym rozbił mi pustą szklanicę na mej wrzającej, rozgotowanej dzikim jadem słownym, czuprynie.

Obudziłem się gdy knajpa odzyskała swoje dawne kształty, repertuar jej został przywrócony, jej wewnętrzna rzeczywistość odnalazła się i zaczęła płynąć spokojnym strumieniem. Wszedłem do środka skruszony i maleńki, niedopałki papierosa były dla mnie tym czym dla turysty powalone drzewo na drodze, musiałem je z wielkim wysiłkiem omijać wspinając się na ich wierzchnie warstwy, za każdym razem przekraczając Rubikon fantazji – gdy wtem czyjaś ręka chwyciła mnie za kołnierz i podniosła do góry. Poznałem twarz mego kompana, nad którym bezlitośnie się pastwiłem poprzedniego wieczoru, a on kulturalnie przeniósł mnie do baru, zamówił piwo i nie wdając się ze mną w żadną dyskusję, wrzucił mnie do środka, a ja pokryty pianą wołałem i pomoc, choć jestem dobrym pływakiem i potrafię długo utrzymać się na powierzchni. Nie pamiętam już ile musiałem machać nogami pod ciemnymi wodami piwa by utrzymać się na powierzchni, nie pamiętam dokładnie co się wydarzyło, ale mój status obecny – ontologicznie bardzo powikłany jest tych zdarzeń fatalną konsekwencją. Zostałem bowiem, podług wszelkiego prawdopodobieństwa pochłonięty przez lokalnego pijaka i odtąd zwidzać muszę kazamaty i otchłanie jego wewnętrznych temperatur.

Znalazłem sobie przytulny kącik w środku brzucha w nadziei, że zapiski moje zostaną przy pomocy którejś z dróg jego fizjologii, udostępnione światu. Wołałem więc do was kochani, wy, którzy odznaczacie się współczuciem i miłością, wołałem do was moi ziomkowie, wydobądźcie mnie stamtąd, niech pijak włoży palec do gardła i niech zwymiotuje mnie, a ja zwymiotowany niech poczuje się lepiej, niech zdołam jeszcze odpowiedzieć za błędy, które popełniłem, niech w końcu zajaśnieje dzień!

Skazany na tą przymusową banicję będę miał pewnie wiele czasu do namysłu nad sobą i światem i coraz wyraźniej widzę, że siłę swoją spożytkowałem w niewłaściwym celu. Powinienem być odwrócić wektor mojej mocy i zacząć zjawiska mnie otaczające zwiększać, a nie zmniejszać. Powinienem był pójść na targ i kupić kwiaty dla przypadkowo spotkanej dziewczyny i przy pomocy magii mojej wręczyć jej bukiet zwiększony, bukiet – olbrzym.

Być może wtedy doznałbym ukojenia, być może wtedy oczyszczony zostałbym. Tęsknię za deszczem. Tęsknię za mgłą.

„CZEKAJĄC NA DESZCZ”

„A może prawda jest kobietą, która ma powody,
by nie pozwolić na zagładanie w jej głębie ?”

Frederich Nietzsche

Papieros tlił się powoli. Rozpacz płynęła poprzez świat. Czuło się to tak mocno, tu w tym barze, gdzie jazz dla spotęgowania samotności dźwięczał jak szalony. Siedziałem cicho, rozkoszując się kolejnym łykiem whiskey na zmianę z papierosem. Przede mną na podartym stole, leżała książka Williama Jamesa, którą kupiłem dziś rano w antykwariacie, ciesząc się jak szalony. Mój kajet wrzał od naporu aforyzmów. „Pijaństwo poszerza, jednoczy i mówi TAK, trzeźwość pomniejsza, dyskryminuje i mówi NIE”. Nie miałem żadnych wątpliwości, że to zdanie mnie tu zagnało.

W skrzeczącym radiu dało się wyłowić pierwsze uderzenia perkusji ballady o „kobiecie żołnierza”, w wykonaniu Marianne Faithfull. Świat nie jest wcale taki zły – pomyślałem, śmiejąc się w duszy jak obłąkaniec. Byłem ciekaw, która może być godzina i który to dzień tygodnia. Odkąd zacząłem dostawać rentę dla niepełnosprawnych i miałem, za co pić, mieszkać i co najlepsze starczało mi na książki, przestało mnie to zupełnie obchodzić. Lecz teraz zafrapowała mnie myśl o systemie dziesiątkowym. Wydało mi się to tak bardzo groteskowe, niemal surrealistyczne, że miliony ludzkich istnień żyje podług tego systemu.

Do baru wszedł Poe. Zobaczyłem go dopiero po chwili, idącego z butelką bourbona pod pachą w moją stronę. W długim czarnym płaszczu, przemoczonym od tej cholernej nowojorskiej pogody, z wysokim jak on sam białym czołem. Pod pachą dzierżył swoje skrupulatne notatki o liczbach. Przecież cały Poe to liczby. Wiecznie użerający się outsider, szukający innego rozwiązania zadania. Przecież to on powtarzał, co krok słowa Nietzschego, które dawno temu zrozumiał: „Fascynuje mnie przeciwny punkt widzenia. Odrzucam stan, który nie pobudzałby do zagadkowości”. Cały Poe, filozof, który wkroczył na matematykę wyższą – nikt nie wątpił, że ta mieszanka będzie wybuchowa.-Wybrałeś asymetryczną stronę baru, z niepodzielną liczbą stolików.

Siadł poważnie naprzeciw mnie. Zapalił pomiętego papierosa i dopiero wówczas przywitał się serdecznie.

- Witaj Jack, długo czekałeś? Ten cholerny rozkład metro nie ma w sobie żadnych zależności! Stałem tam i patrzyłem na te nieszczęsne minuty: 07, 09, 15, 34, 56 i dalej bez sensu: 02, 06, 14, 42- cholera, człowiek może zgłupieć. - Patrzyłem na te jego szkliste oczy, na ten jego szklisty obłęd. I tak zaczęliśmy mówić ze sobą. Tym razem zmieszałyśmy jak nieszczęśni- on francuską filozofię La Mettrie, która, jak twierdził, była ostatnim wydaniem metafizyki, ja mówiłem poezją Rimbauda. I jak to możliwe, że potrafilimy pleść tę mozaikę, tak bardzo zwięzłe, wspólnym krojem. Cieszyłem się cholernie z przeszłości Poe. I brnęliśmy dalej, szukając nienagannie sensu. Sensu życia, istnienia. To było to ogniwo, które nas łączyło z tak wielką pasją. Już tyle lat, wspólnie spędzonych, i nadal to kurewskie pytanie: „Jak tu żyć mądrze”? Pamiętam, jeszcze ze szkoły podstawowej, dwie niespokojne dusze zaczytane w opowiadaniach science fiction. Uciekaliśmy z lekcji do Biblioteki Kongresu i tam popadaliśmy w zapomnienie. Pamiętam, że przyrzekliśmy razem z Poe, że przeczytamy w jeden tydzień wszystkie przekłady Lema, jakie były w bibliotece- to był czas!... Chodziliśmy po tym tygodniu jak roboty. Ale przez te wszystkie lata nieodłącznym pytaniem było i jest nadal tu, teraz, w zadymionym barze, pytanie o prawdę.

Już na ulicy powiedziałem, ostatecznie kończąc myśl Rimbauda:

- Poeta czyni się jasnowidzem przez długotrwałe, bezmierne i świadome rozprężenie wszystkich zmysłów. Nieopisana tortura, w której trzeba mu całej wiary, całej nadludzkiej siły, w której staje się wśród wszystkich wielkim chorym, wielkim przeklętym – i najwspanialszym Uczonym! Bo dociera do Nieznanego!

Pomrukując melodie Toma Waitsa sunęliśmy przez przemoczone miasto. Jak te deszczowe psy. Poe zaproponował litrową butelkę whiskey, na co przystałem wiedząc, że Dean się na pewno ucieszy. I tak obładowani wspomnieniami ruszyliśmy w głąb miasta.

- Dean wspominał coś o Jarmuschu na dzisiejszą noc?

- Sam już nie wiem. Wchodząc do jego mieszkania czuje się dreszcz podniety na myśl o nadciągających godzinach przedstawienia. I on tak świetnie, z tak wielką dziecięcą pasją

zaczyna zwodzić swą nieobliczalną wiedzą o kinie. Ile razy, gdy już wpatrzeni w czarną ścianę, z nieodpartą pokusą poznania, czekaliśmy na zgrzyt projektora..., a Dean wyskakiwał jak jakiś opętany szaman i krzyczał: stop, stop, stop! Nie możemy, za nic w świecie, obejrzeć tego filmu dziś w nocy, ta noc nie jest dla tego filmu. Ryczał jak pomyłony i przepraszał niemal ze łzami w oczach za tak potworną pomyłkę w jego mniemaniu.

- To nie ta noc, to nie noc Kubricka! Październik to nieodpowiednia pora, żeby zagłębić się w jego twórczość. Błagam, tylko nie październik!

Taki był cały Dean- wieczny prozaik kina światowego. Legendy i mity to jego świat. Był nimi owiany tak bezbłędnie... Wychował się podobno w poprawczaku, gdzie nie było telewizora. Pierwszy film zobaczył w wieku 16 lat i co najpiękniejsze, było to „Zwierciadło” Tarkowskiego. Reszta jego życia to film. Większego maniaaka ruchomych obrazków jak żyję nie widziałem.

Zastukałem kilka razy litrową butelką whiskey o czarne drzwi.

- Otwórzcie te cholerne drzwi percepcji! Otwórzcie tę ciemną i niebezpieczną bramę, zza której nie możecie wyjść. Rozpieprzcie te cholerne wrota!- Dean darł się jak szalony już z drugiego piętra. Schodząc po schodach słyszeliśmy go z Poe coraz dobitniej i straszniej.

- A zobaczycie wszystko raz na zawsze prawdziwie, bezbłędnie!

Drzwi otworzył Dean, z niemalże białymi oczyma wypalonymi w ciemnym świetle kina. Kołysał się na nogach, jak wariat. Nagle Poe z niewiadomych mi przyczyn rzucił się na niego, zaczął nerwowo bełkotać:

- A co, może ty wiesz, gdzie są te cholerne drzwi, co- może ty wiesz?! Może mi powiesz w takim razie, gdzie są te cholerne drzwi! Podaj mi choć współrzędne geograficzne, co?... podaj mi!!!- Wrzeszczał coraz bardziej. Biedny Dean był cholernie przestraszony... ja stałem jak wryty na progu z butelką whiskey zwisającą bezbronną. Nie potrafiłem nic zrobić, bałem się okropnie. Nagle Poe puścił Deana, po czym osunął się po ścianie i zawył jak samotny pies. Beczał tak strasznie, piszcząc coś o cholernych drzwiach, których nie sposób znaleźć. Podeszedłem do Deana. Wiedzieliśmy od dawna, że zaczyna mieć problemy ze schizofrenią,

ta najgorsza wariatką ze wszystkich schorzeń. Odkręciłem zakrętkę, pociągnąłem spory łyk, nie wiedząc, co robić położyłem ją między kolanami Poe. Wypił połowę jej zawartości, po czym wstał powoli. Podając ją Deanowi, powiedział:

- Przepraszam stary, to nie ja.

Tak właśnie zaczęło się nasze wieczorne spotkanie, nasza nocna ceremonia...

- Cicho moje drogie dzieci, wsłuchajcie się w skowyt ciężkich, metalowych kół lokomotywy... Wsłuchajcie się w dźwięk śmierci, w śmiech truposza. Cicho moje schorowane dzieci, zatopcie się w poezji Williama Blake’a i Charlesa Dickensona. Interpretujcie żywą galerię ruchomych obrazków. Dalej! Czy wszyscy tu są?- syczał podniecony Dean, stojąc w cieniu projektora. – Czy wszyscy tu są?!

Czy wszyscy tu są obecni?!- Ryknął na cały dom – Obudźcie się! Ceremonia się rozpoczęła!

Przez następne sto dwadzieścia jeden minut nikt nie miał prawa pisać słówka. Wszyscy o tym wiedzieliśmy dobrze. Siedziałem w kącie, miętosząc papierosa, jedyne dodatkowe oświetlenie ciemnego pokoju, poza absolutem smugi światła...

Gdy ostatnie litery zamknęły ceremonię, siedzieliśmy jak wryci przez dobre piętnaście minut. Dopiero ciche pomruki Poe o długości filmu obudziły mnie z letargu poezji, którą tak bardzo kocham. Dean siedział na podłodze jak jakiś wielki szaman, który cieszył się w duszy z tego, że wyleczył wioskę z obłądu, podstawiając odpowiednie leki, jakimi były sceny filmowe.

- Prawda zawarta jest w kinie, zawsze wam to mówiłem- odezwał się pewnie Dean.

I tu zaczęła się straszliwa burza skołatanych myśli. Pijani, we własnych światach broniliśmy własnych racji. Zacząłem powoli cedzić słowa, broniąc niezmierniej potęgi wierszy Blake’a, lecz Dean pozostawał przy swoim.

- Stary, jedynie ruchome wizje i interpretacje kinowe mogły wydobyć prawdę tak wysoko. Tak jasno. Zgadzałem się- fundament jest nieznośnie pewny i niezaprzeczalny, lecz odkryć go możemy jedynie przez obrazy.

- A czym są ruchome obrazy? Jeśli nie twą wyobraźnią? To ty sam się bronisz przed prawdą, przykrywając ją smugą światła! Nie dajesz ujścia i wytnienia myślom. Jesteś kaleką, Dean!

- Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia jeden. Podzielone na trzy...

- Nieprawda, tylko film jest jedynym wyjściem.

- A co z poezją, a co z poezją głupcy!

- Czterdzieści i trzy, trzy, trzy, trzy, trzy, trzy, trzy, trzy, trzy, trzy, trzy...

Obudziłem się na zielonej ławce w parku. Był piekielnie piękny dzień. Wszystko bez reszty mnie bolało, z wyjątkowym nasileniem na wysokości głowy. Pod głową miałem książkę Millera „Zwrotnik Raka”. Ucieszyłem się z tego niezmiernie. Nie pamiętam dokładnie skąd ona znalazła się pod moją głową. I ta myśl napawała mnie największą podniętą. Zacząłem czytać ją kolejny raz.

Dopiero silny głód zmusił mnie, abym przestał. Ech ten majestatyczny głód, jak on bezlitośnie rządzi ludzkimi istnieniami. Na śniadanie zjadłem tosta, popijając kawą. Po drodze kupiłem świeżą prasę, jedyny i zarazem ostatni most łączący mnie z rzeczywistością. „Dzień krótszy od najdłuższego o 8 godz. 48 min, a dłuższy od najkrótszego o 13 min. Ciśnienie 991 hPa, wzrośnie. Słońce wschód – 7.31; zachód – 15.24. Księżyc wschód – 12.08; zachód – 22.19. Nowy York będzie pod wpływem niżu...”

Zapowiada się smakowicie. Pałac rannego papierosa ruszyłem dalej. Bez celu, z celem. Moje miasto wygląda naprawdę smutno rankiem. Na ulice wlewają się powoli ostatnie dusze nocnych wędrowek. Dziwki idą spać do hotelów, narkomani leżą w jasnych zaułkach. Nie ma Jazzu w knajpach. Jedynie brudne trampy ozdabiają miasto. Muszę się koniecznie zatrzymać, i poukładać starannie myśli. Inaczej dalsza wędrówka będzie niemożliwa. Usiadłem na murku przed księgarnią. Piękna dziewczyna oderwała mnie od samooperacji. Miała tak cudne czarne włosy, uśmiechała się przechodząc, patrząc dobitnie w moje zmordowane niebieskie oczy. Wyglądała na kobietę, która poznała prawdę życia. Tak kojąco przedstawiała świat. W chwili miałem wstać rzucić się jej do nóg i ucałować piękne białe nóżki, oddając jej się na zawsze. Już miałem wstać i pognać z nią na koniec świata, na dno oceanu, gdzie zostalibyśmy już na zawsze razem... Odjechała tak strasznie najeżdżającym autobusem.

Zostałem sam. Co najgorsza z niepokładanymi myślami. Zawyłem jak pies.

Potrzebowałem wybuchu własnego ja. Już tak długo okropnie męczy mnie rzeczywistość. Nie mogę znaleźć sobie miejsca. Wkurwiają mnie te wszystkie wyklócone teorie! Świat wydał plony fałszu a my w tych plewach buszować nie potrafimy. Potrzebowaliśmy tak bardzo czegoś pewnego. Kwiatu, miłości, snu, nie wiem czegokolwiek. Bałem się tak bardzo szaleństwa, które wisało nad moją ciepłą głową. Teoria stała się diabłem, czyhającym z widłami szaleństwa. Z ogniem bólu i śmierci.

Pobiegłem jak szalony do księgarni naprzeciwko, kupić jak najszybciej mapę samochodową. Już z nią w ręku siedziałem tak bardzo szczęśliwy w budce telefonicznej, dzwoniąc do Deana.

- Człowieku, mam! Wyjedziemy z tego śmierdzącego miasta.

- Wyjechać ? Ale gdzie Jack ? Gdzie my kurwa możemy wyjechać ?

- Gdzieś indziej, gdzieś dalej. Autostradą świtu. Nie oglądając się do tyłu.

- Cholernie dobra myśl! Człowieku pobiegnę zaraz na wykłady do Poe. Jeśli mamy jechać, jeśli mamy odkryć, to razem.

Byłem bardzo podniecony. Czułem stan podobny do oczekiwania, małego dziecka przed wymarzoną wycieczką szkolną. Dokładnie tak samo czekałem na nowe doznanie. Na te wszystkie wątki, które stały tak blisko nas. Byłem ciekaw zbliżającej się rzeczywistości. Byłem ciekaw co się stanie. Nie wiedziałem co zrobić.

Poe nie było na wykładach tego ranka. Zaszył się podobno w swoim zmechanizowanym, półprywatnym świecie. Linoleum jego podłogi, było pokryte mnóstwem rysunków geometrycznych. On stał prawie nagi z markerem w ręku i biegał nerwowo po tym labiryncie. Bał się piekielnie nadepnąć na niewłaściwe pole. Na środku był wielki okrąg z mniejszymi zbiegającymi się coraz gęściej do środka. Na zewnątrz największego koła było mnóstwo różnych figur, z odpowiednią jak tłumaczył Poe kombinacją liter i liczb. Stał w kącie i szeptał boleśnie:

- Nie mogę, na Boga nie mogę odtworzyć tych drzwi. Są zbyt daleko.

- Człowieku, otwórz te cholerne drzwi! Czemu my zawsze mamy problemy z drzwiami

- Dean, nie wchodź tu, proszę cię bracie, nie możesz. Nie wpuszczę Cię.

- Poe otwórz, chcę pogadać. Mam bardzo ważne wiadomości od Jacka.

- Nie, nie, nie, nie mogę!

Trzy głuche uderzenia ciała były zwiastunem szaleństwa Poe. Dean wpadł za czwartym na środek pokoju. – W sam środek tego dużego koła. Jak później opowiadał. Nie wiedział, co się dzieje. Nie widział nigdzie Poe. Podobno wszystkie meble i jego urządzenia były pospychane do kątów. Wielkie pomieszczenie a na środku leżał Dean nieświadom, w systemie hieroglifów.

- Poe, gdzie jesteś bracie.

Ciemny pokój z białą strugą światła od strony korytarza nie zwiastował nic dobrego. Dla złośliwości tworzyła ona kolejną figurę, diabelny biały trójkąt wcinający się w to wielkie koło na środku. I powiększał się tak powoli, wraz z piskiem drzwi... Poe leżał nieprzytomny w kącie... Nafaszerowany lekami, schorowany Poe siedział teraz w moim mieszkaniu, naprzeciw mnie. Przedstawiał upadły posąg ludzkiego tworu. Nie było wyjścia, jedziemy...

Rozbiliśmy auto Deana, gdzieś przed Meksykiem. Czuliśmy samotną śmierć. Teraz nikogo to nie dziwi. Siedzimy na pustynnym rozdrożu. Nie jedliśmy nic od kilku dni. Widzę Deana wpatzonego w ruchome ziarenka piasku. Widzę Poe śledzącego chmury, widzę i czuję zimną prawdę, opierającą się o moją skroń.

Prawda...

Aby być z dala od Ciebie spróbuje goryczy.

*„Zobaczyć świat w ziarenku piasku
Niebiosa w jednym kwiecie leśnym
W ściśniętej dłoni zamknąć bezmiar
W godzinie nieskończoność czasu.”*

W. Blake

Jerzy Reuter

„STRACH”

Wiem, co to jest strach. Znam to uczucie, gdy zaciska się wokół głowy jarzmo ciasnej przestrzeni i więzi wszystkie myśli. Wiem jak gęsta jest smoła nocy rozlana w zakolu dystansu bezpieczeństwa, a piosenka trwogi wibruje na najwyższych rejestrach modlitwy i bezsilności. Doznałem tego uczucia w dalekich i dzikich ostępach Bieszczadów. Tam byłem by porozmawiać z wysmukłymi sosnami i twardymi braćmi bukami.

M, mała wieś a właściwie osada. Kilka drewnianych domów budowanych w leśnym stylu. Układane z bali tworzą całość w swojej jednolitej architekturze. Pomiędzy nimi bita droga prowadząca do stacji kolejki wąskotorowej, a z dołu od Komańczy droga przez las, przejezdna pomimo dwóch przepraw przez strumień. Cała ta malownicza enklawa umiejscowiona pomiędzy gęstymi lasami.

Gromada mieszkających tam ludzi, silnych i ogorzałych jak miejsce, w którym przyszło im żyć. Uśmiechnięte twarze – jak to u ludzi od ciężkiej roboty. Nie znają fałszu i zawiści, w ich codziennym znoju takie wartości nie sprawdzają się. Żyją zgodnie z biologią wpływających dni. I te kobiety. Piękne w umęczeniu pracą, miłością i pielęgnowaniem swego liczego potomstwa. Zawsze przygotowane do wielkich poświęceń i zmagañ z nieobliczalną naturą.

Czuje i miękkie. Szorstkie i powabne. Jest jakaś błakająca się i milcząca tajemnica w gestach tych ludzi. Przelotne muskanie się wzrokiem, czasem szybkie podane szeptem słowo, po którym tężeją im twarze i milkną nawet dzieci. W czasie, w którym nasza na mnie potrzeba wykrzyczenia wielu zabłąkanych słów przyszło mi żyć wśród tej jednolitej społeczności. Tam wśród nich poznałem jak jęczy nagonka w akordach skowytu półdzikich psów, sapanie kłusowniczej gromady i dźwięki bimbrowych biesiad. Często w ich oczach widziałem tragedie i krew.

Jaculo! Poszedł do lasu po mięso, po jelenia. Poszedł i nie wrócił na własnych nogach. Przywlokły go jego oszalałe psy – pod sam dom. Odstrzelił sobie nogę. Przypadkiem, a może nie przypadkiem? Może to ktoś zza drzewa, prosto w kolano, które rozprysło się jak

ciśnięta o ziemię szklanka? Tego nie wie nikt i nikt się nie dowie! To pewne!

Którejś nocy ciemnej i gęstej jak rozlana smoła przyszło mi iść do Nowego Łupkowa. Nie! Nie powiem, po co. Ja już tam wrosłem w tajemnice moich przyjaciół. Miałem coś powierzonego ponieść przez las do innych takich samych ludzi. Nie powiem, bo nie chcę o tym napisać i zdradzić. „Nikomus” – To była przysięga i jednocześnie przestroga, której dochowuje wierności do dzisiaj. Koniec i kropka, i basta. Wszedłem w odmęt nocy jak w nieprzeniknioną i gęstą watę. Nie ma nic. Czerń wokół i czerń w duszy. Tak rodzi się prawdziwy strach. Gdy straciłem z oczu ostatnie światła M stałem się bezbronnym i ociemniałym robakiem. Na pokrzepienie miałem ćwiartkę samogonu i gruby kij. Wypić alkohol i upaść w mech? A misja? Brnąłem więc po omacku jak ślepiec wykręcając kijem młynki.

O Boże! Jakież to bestie i potwory szły moim śladem. Każdy szmer to zgłodniały wilk. Każdy trzask to banda wściekłych niedźwiedzi. Brodziłem w tunelu czarnego lasu jak w zamkniętej bryle gęstej mazi. Kiedyś przeżyłem tańczącą siekierę nad głową w ręku pijanego szaleńca i walące się za plecami kłody drzew. To nie był ten strach. Tam nic nie narastało w takt muzyki wyobraźni, było tylko zaskoczenie i nie była to słynna ostatnia sekunda. Widzę ciemność, albo nic nie widzę. Wszystko dzieje się w innym wymiarze czasu. Nie wiem, co było przed chwilą i co będzie za chwilę. Wszystko gubi się i rozplywa. Jest tylko ciemność wzmocniona przeczuciem nadciągającej siły. Nagle usłyszałem nad głową ptasi krzyk, ostry jak rozbite szkło pod nagą stopą. Rzeczywistość odskoczyła jak odcięta od całości kartka. Odpadła otwierając wszystkie szczeliny mojego ciała na wtłaczające się z bólem przerażenie. Powtórny krzyk przepłynął nad głową i zatrzymał się gdzieś bardzo daleko. Chyba zemdlałem. Gdy się ocknąłem moje ciało maszerowało nadal, nie zapadło ze mną w błogą nieświadomość. Wtedy krzyk się powtórzył i zrozumiałem, że wydobywa się z moich ust.

Na tle ciemności pojawiła się mała świecąca iskierka. Gdzieś, nie wiem gdzie zamajaczyło światełko. Mały złotawy punkcik. Coś szło przez las, przez otchłań czerni i grozy. Trzask łamanych gałęzi zbliżał się wraz z majaczącym światłem. Jaki to zwierz? Może

człowiek? Nie wiedziałem, co lepsze, a jednak czekałem. Uciekać! A gdzie? Jest ciemność jak śmierć, jak przejście do innego świata. Ile krwi przepłynie przez tę nicość? Ile mojej krwi? Moje ciało jak czuły radar wychwytywało każdy ruch tego czegoś. Chyba zacząłem się modlić. Nie wiem, jakie litanie odmawiałem, w takich momentach sam Bóg nakłada na usta słowa, swoje słowa.

To coś zbliżało się nieubłaganie. Przykucnąłem pod ciężarem emocji i zamarłem w oczekiwaniu. Po odgłosach miarowo stąpających nóg domyśliłem się, że to człowiek. Światło powoli zataczało kręgi w moim kierunku. Ustawiłem swój kij podróżny na sztorc, w kierunku nadchodzącego. To była moja obronna palisada. Mogę śmiało stwierdzić, że w pewnym momencie ustawiłem się na atak. Człowiek przystanął jakieś 10 metrów ode mnie. Powoli nakierował światło na moją postać. Usłyszałem śmiech. Śmiało się przyjaźnie, nie było szyderstwa czy tego straszego śmiechu znanego mi z horrorów.

Ej! – Zakrzyknął w moim kierunku, – Co się wydzierasz po lesie?

Zgłupiałem, niedorzeczność pytania i cały absurd mojego strachu zrzuciły ze mnie emocje. Nawet zrobiło mi się żal uciekającego napięcia i przerażenia. Czy mogłem zgłupieć?

Przydusił mnie kaszel! – Kombinowałem jak z tego wybrnąć – Zakrztusiłem się!

Jeżeli masz zapalki to podejdę i zajaramy – Zawołał nawet przyjaźnie.

Po tak bezpośrednim zaproszeniu bez oporu zgodziłem się i zaoferowałem ogień do papierosa.

Zbliżył się i położył latarkę na ziemi, twarzą w dół. Ściółka zajaśniała jak podświetlony dywan. Przybysz usadowił się wygodnie i gestem ręki wskazał miejsce obok siebie.

Siadaj brachu – Mówił miękkim i opanowanym głosem – Zapalimy faję pokoju i pójdę dalej.

Czy myślałeś że spotkasz tutaj kogoś? – Zapytał.

Mogę powiedzieć, że tak – odparłem już spokojnie. Chciałem się przyznać do strachu i przerażenia tą całą drogą. Nie wiedziałem jak to zrobić. Jak opowiedzieć obcemu człowiekowi tak głębokie uczucia? Wstydzilem się chyba bardzo.

Idę do Łupkowa – pomyślałem, że tak dobrze jest zacząć.

Gdzie ty maszerujesz i nawet po co to ja wiem - odparł – nawet wiem co tam niesiesz w tym swoim plecaku. Idziesz brachu, ale za tobą niesie się smród, wielki smród. Obserwuje Cię uważnie.- Po tych słowach zaciągnął się papierosem i położył na mchu.

O czym on mówi? Co takiego wie? Jakież to smród zaprowadził go do mnie i mojej tajemnicy? Postanowiłem nie głowić się rozwiązaniem tej zagadki. W desperacji usiadłem obok i próbowałem go zaskoczyć.

Mam trochę bimbru, może wypijmy na konto spotkania? – Bardzo chciałem się wkupić – Napij się, samogon jest dobry. Była to próba przełamania lodów i podanie ręki w jego stronę. Przez chwilę panowała cisza, która wyciągała się ignorując czas w nieskończoność.

Może być dobry bimbler – uśmiechnął się szeroko. Umoczyliśmy usta w cierpkim płynie. Nieznajomy delektował samogon pomlaskując i pomrukując po każdy łyku. Drożdżowy smak neutralizował dymem papierosa. Piliśmy w milczeniu. Intensywnie myślałem jak też potoczy się dalsza rozmowa. Dziwne słowa obcego wywoływały we mnie wiele sprzecznych uczuć. Bałem się tego, co może nastąpić a jednocześnie oczekiwałem tego. Moja ciekawość umiejscowiła się na jednym poziomie z lękiem. Leżał wyciągnięty obok moich nóg w bardzo obojętnej pozycji. A gdybym tak teraz zaatakował jego ciało? Wystarczy jeden dobry skok na klatkę piersiową. Wbić się obcasami w jego żebra i zakręcić mocno stopami. Postanowiłem jednak poczekać na dalszy ciąg tego dziwnego spotkania.

Andrzej! – Przedstawiłem się – jestem Andrzej! Przez długą chwilę milczeliśmy. Ja w pozycji wyczekującej, on swobodnie ułożony na mchu.

Nazywaj mnie jak chcesz, może być Jan albo jakiś inny święty. Jest mi to obojętne. Dla ciebie mogą być świętym.

Nie wyglądasz na świętego – stwierdziłem uśmiechając się szczerze. Może teraz mu to powiem? Nabrałem powietrze w usta, usiadłem obok leżącego i postanowiłem mówić.

Wystraszyłeś mnie – zacząłem – idę jak wiesz do Łupkowa i coś mam tam zanieść, a ty swoją dziwną obecnością zbudowałeś tyle złych emocji. O mało nie padłem trupem ze strachu! Kim ty jesteś? Co tutaj robisz?

Chyba rozluźniony samogonem pozwoliłem sobie na bardzo odważne słowa. Usłyszałem gulgotanie przetykanego płynu. Obcy odrzucił daleko pustą butelkę. Po moich słowach zrobiło się bardzo cicho.

Kiedyś, bardzo dawno temu – zaczął – byłem tutaj i szedłem z taką samą misją. Dlatego wiem gdzie idziesz i z czym. Nie dotarłem do celu. Niestety zostałem tutaj. Żyję w tym lesie od tamtego czasu, chociaż nie wiem czy słowo żyję pasuje do mojej sytuacji. Nie ważne – powstał z ziemi i otrzepał spodnie – Moim zadaniem było dopilnowanie byś doszedł do celu. Może tego nie pojmiesz, ale taka jest prawda. Pozwól, że do ukazania się pierwszych świateł Łupkowa pozostanę twoim cieniem.

Po kilku minutach ruszyłem w drogę. Szedłem już bez strachu i żadnej trwogi. Czułem na plecach obecność obcego i to dodawało mi otuchy i pewności siebie. Po strachu pozostało wielkie zmęczenie, a w pamięci widok jego twarzy. Ten człowiek był oszpecony. Zauważyłem brak jednego ucha i bardzo głębokie blizny na policzkach. Nie zapytałem o jego zmyły, które gdzieś go dopadły i tak naznaczyły. Szedłem przed siebie i byłem wdzięczny losowi za to spotkanie i tajemniczą opiekę.

Doszedłem do Łupkowa nad ranem, kiedy odchodzi już noc i idą spać demony. Świt wniósł światło i pozamiatał wszystkie nocne lęki. Mój towarzysz zniknął przed końcem wędrówki. Zniknęła również pamięć o całej tej nocnej przygodzie, wszystko zamazało się i zmniejszyło. Po dostarczeniu przesyłki zatrzymałem się w domu człowieka- odbiorcy paczki. Zaprosił mnie na śniadanie, do którego zasiadł z kobietą.

Jedliśmy w zupełnym milczeniu, z szacunku dla darów nieba. Chleb, słonina i mnóstwo czosnku. Wszystko zapijane herbatą z owoców brusznic. Po posiłku gospodyni uraczyła nas szklanką aromatycznego samogonu.

Jaką miałeś drogę? – Zapytał pomiędzy łykami gospodarz – Tylko nie mów ze wyśmienitą.

Owszem – odparłem grzecznie – bałem się jak cholera, najadłem się strachu jak nigdy w życiu.

Rozmowa toczyła się na poziomie pełnego luzu, a jednak coś drgało w powietrzu. Coś przeszkadzało mi przejść do ciepłego rozleniwienia. Gospodarze wymieniali między sobą szybkie

spojrzenia, czasami dotykali się końcami palców jakby przekazywali sobie tą drogą ważne informacje. Oboje w jednym wieku, byli typową parą ludzi żyjących w bieszczadzkich warunkach. On lekko przygarbiony z głową wysuniętą do przodu. Co chwila pociągający nosem zmagając się z chronicznym katarą. Ona piękna i mimo średniego wieku bardzo dziewczęca. Śniada, kruczowłosa z egzotyczną urodą cyganki. Miała wielkie męskie dłonie, wielkie i zniszczone.

Spotkałem tam kogoś – powiedziałem bardzo spokojnie – spotkałem tam dziwnego człowieka.

Gospodarze przysiedli się bliżej. Siedzieliśmy na jednej długiej ławie tak blisko siebie, że ich ramiona dotykały moich i zakleszczały mnie w miejscu.

Chcesz nam o tym opowiedzieć? – Zapytała kobieta patrząc mi prosto w oczy – nam możesz to powiedzieć.

Cisza, która rozłożyła się nad stołem ciepło głaskała moją nieśmiałość. Bimber wszedł w krew i pobudził pamięć. Powoli zatrzymując się po każdym zdaniu opowiedziałem swoją przygodę. Słuchali, słuchali i często szukając potwierdzenia moich słów spoglądali na siebie i przytakiwali głowami. Odniosłem wrażenie, że moje opowiadanie jest im znane, że potrzebują tylko potwierdzenia. Gdy skończyłem na ich twarzach malował się zupełny spokój. Wyglądali tak jakby czekali na moją opowieść. Powoli powracaliśmy z mojej przygody do stołu.

Gospodarz powstał i stanął w rozkroku twarzą do okna. Patrzyłem na jego wypukłe plecy i czekałem. Przez chwilę wpatrywał się gdzieś bardzo daleko, po czym odwrócił się i zapytał.

Chcesz poznać historię tego człowieka?

Opowiadaj – odparłem – mamy czas.

Goja! – Zawołał w głąb izby – nalej nam jeszcze! Będę opowiadał.

Przysiadł się po drugiej stronie stołu. Przez chwilę wpatrywał się we mnie podpierając głowę na szerokiej dłoni.

To, co chcę ci opowiedzieć – zaczął – wydarzyło się naprawdę. Może wyda ci się ta historia dziwna i nawet niesamowita, ale tutaj w Bieszczadach nic nie dzieje się normalnie, a wszystko ma posmak dzikiego odludzia – kobieta wniosła napełnione szklanki i przysiadła z boku – Działo się to kilka lat temu. Były to czasy, gdy każdy z nas miał pracę i dobre pieniądze. Nie jedliśmy chleba ze

słoniną, a kielbasa wędziła się, co dzień. Nie pytaliśmy skąd przybył, takich pytań tutaj się nie zadaje. Jorg, tak kazał na siebie mówić, szybko stał się jednym z nas. Mało pił, pracował za dwóch. Wpisał się w naszą gromadę bardzo szybko. Był inny od reszty a jednak lubili go wszyscy. Często gdzieś uciekał w góry gdzie przebywał po kilka dni. Nikt go nie pytał, co tam robi, jego sprawa. Aż któregoś dnia, a właściwie nocy poszedł przez las znaną ci już drogą – przez chwilę zbierał myśli – Poszedł i nigdy już nie dotarł na miejsce. Czekaliśmy na Jorga długo, do następnego dnia Wiesz, ta przesyłka ma wielką wartość, więc groza straty zawisła nad nami jak przekleństwo. Ruszyliśmy w las. Nie wiedzieliśmy, którą drogą szedł Jorg, więc błądził po omacku. Po kilku godzinach znaleźliśmy to przekłete miejsce, przekłętą polanę. Taka malutka polana w środku świerkowego młodniaka. To, co zobaczyliśmy wstrząsnęło nami jak groza. Trawa była czerwona od krwi. Powywracane drzewka i ta krew dały nam wyobrażenie o tym, co tutaj zaszło. Ktoś stoczył śmiertelną walkę. A gdzie ciało? Ciała nie było! W czerwonej trawie znaleźliśmy tylko ucho, ludzkie ucho. Poszukiwania trwały cały dzień, ale niestety na próżno. Wieczorem zjawił się we wsi komendant WOP. Coś węszył, krążył po opłotkach przypatrując się tylko. Nic nie mówił. Próbowaliśmy połączyć jego tajemniczość z naszą sprawą, ale...Nic nam z tego nie wychodziło.

Odpocznij chwilę – wtrąciła się kobieta – mam jeszcze coś do wypicia.

A co tam! Opowiadam. Jak wiesz siostrą grozy jest bezradność, a bezradni łapią się ostatniej deski ratunku. Mieliliśmy po ludziach stare dobre krótkofalówki, jeszcze z czasów wojny. I tak poznaliśmy część prawdy. Z nasłuchu milicyjnego kanału dowiedzieliśmy się, że z pobliskiego ośrodka pracy związało dwóch złodziei. W pięć minut pod moim domem ustawiła się ekipa pościgowa. Sami wytrawni kłusownicy, tacy, co znają las jak ciała swoich żon. Do tego nasze psy, które zanim wejdą w las już wiedzą, czego mają szukać. No, bracie, z takimi ludźmi nie wchodzi się w spory, zwłaszcza, gdy ślady na ziemi zabarwione są krwią. Ja zostałem z komendantem, musiałem go upić, a chłopcy poszli. Nie szukali długo. Te psy uwielbiają pośpiech. Znaleźli ich na Żebraku, a właściwie jednego z nich. Drugi nie żył, był trupem. Skonał od ran. Ciało było podziurawione bagnetem w kilku miejscach. Doszedł

jeszcze ostatkiem życia do Żebraka i skończył. Jego koleś też nie był w całości. Nie widziałem tego, ale z opowieści wiem, że opływał krwią. Bardzo pokornie opowiedział wszystko jak przed mamusią – przepłukał ponownie usta – było wśród nas kilku byłych więźniów i ci szybko się z nim dogadali. Historia prosta i nawet banalna. Naskoczyli na Jorga gdy ten szedł do nas i zażądali pieniędzy. Odmówił, bo nie miał, chciał im dać papierosów i trochę chleba. Któryś uderzył Jorga w twarz. Wtedy wyciągnął z za pasa bagnet i zaczął nim pracować. Tamci nie byli dłużni i zaczęła się jatka. Jorg to nie ułomek, więc ból, co raz wznosił się ponad drzewa. W końcu ustali. Zbiegowie uciekli w ciemność, a Jorg pozostał w kałuży krwi. Co się potem działo? Tego nie wie nikt. Gdy na Żebrak przybył pościg z WOP i więzienia, mogli stwierdzić odnalezienie jednego nieżywego zbiega. Co z drugim? Tego to ja już nie wiem, piłem w tym czasie wodę z komendantem. Tak było.

Nad stołem zaległa cisza. Gospodarz zmęczony opowiadaniem położył głowę na blacie i lekko przysnął. Nie wiedziałem, co powiedzieć i co w ogóle dalej robić. Postanowiłem jednak dojść do końca opowieści.

A co stało się, z Jorgiem? – Skierowałem to pytanie do kobiety, – co z tym drugim zbiegiem?

Patrzyła przez zmrużone oczy w podłogę.

Jorga nikt już nie spotkał - odpowiedziała cicho – przepadł gdzieś. Szukali go, nawet milicja, bo przecież ogłosili go mordercą tego zbiega. Może go znaleźli? Nie wiem.

No, a ten drugi? Ten zbieg?

Jaki drugi? – Ożywiła się – przecież znaleźli jednego.

Powiem ci coś – zbliżyłem twarz do jej ucha – dzisiaj w nocy widziałem Jorga i nie wmówisz mi, że go nie ma. Wiem, że on tam jest. Żyje gdzieś w tych lasach. A dla całości historii interesuje mnie ten żywy zbieg.

Kobieta rozłożyła bezradnie ręce.

Przecież mój opowiadał – odwróciła się do mnie – My nic nie wiemy. Piliśmy wódkę z komendantem.

Tarnów 30. 11. 2006

„SKARB”

Moje życie nie wznosiło mnie na jakiegokolwiek wyżyny i nie przynosiło dumy rodzicom. Było pasmem kosmicznych czarnych dziur, w które wpadałem na własne życzenie. Moje życie to jedna wielka pomyłka. Jestem zaświatem samego siebie, gdzie tylko wieje zimny wiatr. Taki wiatr hulał przed stworzeniem świata po zimnych i pustych ulicach N.Yorku – taki dowcip.

Z tej mojej tragicznej pozycji dziecka zatraconego, chcę opowiedzieć historię mojego ojca. Jedną z wielu historii – dziwacznych i rujnujących życie mu bliskich. Zanim przyszedłem na świat, ojciec już należał do elity ludzi pokreconych psychicznie i dziwacznych. Tak, więc wpuszczając mnie do wnętrza mojej matki przekazał na mnie swój stan. Nikogo nie pytał o pozwolenie i to daje mi prawo do twierdzenia, że znalazłem się tam całkiem przypadkowo.

Moje okno na świat otworzyło się wraz ze spadającą pierwszą bombą wielkiej wojny. Mogę śmiało powiedzieć, że moim narodziom towarzyszyły wielkie i cudowne zjawiska – skądś to znam.

Kolejne bomby, w prezencie urodzinowym, zrównały z ziemią mój rodzinny dom i wygoniły moją rodzinę na ulicę. Ojciec – wizjoner poprowadził nas na z góry upatrzone miejsce (wszystko przewidział), na stare miasto, gdzie mieszkali sami żydzi i tam już pozostaliśmy do ostatniej spadającej z nieba bomby – do końca wojny.

Moja świadomość obudziła się i zaczęła zapisywać mentalny pamiętnik, gdy było tam już posępne getto. Ojciec był dobrym stolarzem i naprawiał odebrane żydom meble, by te z kolei służyły Niemcom, jak służyli im wszyscy byli właściciele mebli. Oczywiście ojciec nie okradał tych biedaków, on tylko reperował kradzione przedmioty – żydzi okradali siebie nawzajem.

*

Dokładnie 1 września, w swoje urodziny, stoję w oknie maleńkiej kawalerki i przypatruję się jak policja w brawurowej akcji pakuje do samochodu młodego chłopaka. Czekam na Kała, mojego przyjaciela, który dzisiaj pobiera radosną wypłatę. Wypłata Kała ma być uświęceniem moich urodzin. Policjanci utworzyli szpaler od

w wejścia do klatki schodowej po samochód, środkiem dwóch z nich prowadzi młodego człowieka. Wszyscy policjanci są dwa razy więksi od chłopca. Zrobiło mi się wstyd, mnie nigdy tak nie zabierali. Przychodzili zawsze we dwóch i prosili do samochodu.

Dzień zaczął się dla mnie wyraźnie niekorzystnie. Nad ranem wyszła z domu Maryla, wyszła bez pożegnania i nie zapowiedziała się na następną wizytę. Miałem jej dość, ale ona, chyba bardziej mnie. Wychodziła tak wiele razy, ale tym razem zabrała swoje rzeczy, więc nie miałem większych złudzeń. Wstałem ogłupiały i zmęczony, długo wpatrywałem się w puste miejsce na kanapie, w wygnięciony dołek tuż przy ścianie, który był Maryli kołyską – sypiała w nim skulona jak dziecko. Na domiar całego nieszczęścia zabrała ostatnie pieniądze i zostałem bez śniadania. Na stole pozostała połowa butelki taniego wina. Pomyślałem, że karty, wino i śpiew potowarzyszą mi do przyjścia Kala – kocham pasjanse i muzykę B.B. Kinga.

Aresztowanego chłopaka znam z widzenia, mieszka gdzieś obok mnie i raczej nie rzuca się w oczy. Podobno ćpa narkotyki. Nie wiem, powtarzam tylko to, co obito się o moje uszy. Wszyscy jesteśmy samotni, a noce częstują nas zimnem ściany. Może potrzebuje ciepła? Albo kogoś drugiego przy tej zimnej ścianie? Może dołek na jego łóżku nigdy się nie wypełnił? Mój dołek wypełniał się wiele razy, ale nigdy na długo i dlatego popijam tanie wina – nie jestem narkomanem.

Karta przy karcie układam pasjans, Przyjdzie Maryla... Nie przyjdzie Maryla... Winko wypite płynie w krwiobiegu i układa moje usta w uśmiech zadowolenia. Teraz mam odwagę zadzwonić do mojego starego ojca. Może opowiem mu o aresztowaniu chłopaka? Dorzucę do tego odejście Maryli i dostanę słowo pociechy? Niech stary dziwak porozmawia z młodym dziwakiem. Ojciec ma prawie 90 lat i jest bardzo sprawnym staruszkciem. Jak ma uzasadnioną potrzebę to wali mnie w pysk z siłą do pozazdrosczenia, po sile takiego uderzenia rozpoznaję wagę problemu. Kocham go bardzo, ale jesteśmy starymi samotnikami i dbamy o niezależność naszych przestrzeni. Pomagamy sobie na odległość – mamy własne pastwiska.

Cześć tato – zaczynam delikatnie – jak się dzisiaj czujesz?

Guzik ci do tego! – Posapuje ciężko. Co on tam robi?

Co tam robisz? – Pytam – masz atak astmy? Jakiś zmęczony jesteś.

Potrzebujesz czegoś? – Jest bardzo poirytowany - Nie mam czasu!

Odeszła Maryla i aresztowali mojego sąsiada! – Wyrzucam z siebie szybko, by mieć to z głowy. Nie wiem, co może obchodzić ojca jakiś sąsiad?

Gówno mnie to obchodzi! – Potwierdza i rzuca słuchawką. Odczekuję chwilę przy telefonie. Dzwoni!

Co z Marylą? – Pyta już spokojnie

Wstała w nocy i poszła, tato...

Milczymy. On nie rozumie mojego problemu, a ja nie wiem jak mu to wytłumaczyć. Tradycyjnie pomilczymy i pożegnamy się.

Przyjdiesz do mnie? – Zaskakuje mnie pokornym tonem – potrzebuję cię jak cholera. Przyjdź koniecznie, będzie Janek Tapicer. Posiedzimy sobie jak za dawnych lat.

Przyjdę, tato – udaję zdecydowanie.

Udaję, bo wiem jak będzie wyglądało to „posiedzimy”. Janek Tapicer opowie kilka starych dowcipów, a ojciec postawi jakąś lichą ćwiarteczkę. Ten rytuał ciągnie się od lat.

Dzisiaj mam urodziny – przypominam nieśmiało – kończę 60 lat, tato. Przyjdzie Kal, obiecałem mu, że pobędziemy razem. Pogramy w karty...Może jakieś winko? - Nie liczę na prezent, to nie w stylu mojego ojca. Na jego pastwisku nie rosną prezenty. Pomimo zaproszenia robi mi się smutno. Jesteśmy z ojcem w takim wieku, że stanowimy bardzo śmieszną parę, a smutek mój to samotność o twarzy starego ojca. Oprócz mnie ma tylko Janka Tapicera, swojego dawnego pracownika, z którym żyją jak bracia.

Janek Tapicer jest w wieku ojca, a połowę życia strawił na poszukiwaniu skarbów. Od zakończenia wojny przekopał byłe getto w pionie i w poziomie. Opukał niemal każdą cegłę, od głębokich piwnic po dachy kamienic. Piwnice idą w dół na trzy poziomy, pod całym starym miastem, więc można domniemywać, że Janek Tapicer miał, co robić. O nie! Nie robił tego sam, nie był samotnym poszukiwaczem. On to robił z moim biednym ojcem!

Dobrze tato – mówię pojednawczo – przyjdę z Kalem, przecież go lubisz.

Dobrze, będziemy czekać.

Przeegrany pasjans śmieje się szyderczo kolorowymi obrazkami kart. Nie przyjdzie Maryla... Nie przyjdzie Maryla... Składam karty i wrzucam je za kanapę, koniec z wami! Przyjdzie Kal to rozegramy partyjkę „garibaldki” i pójdziemy do ojca. Poszarpany ten dzień jak zużyta chusteczka do nosa, taka, że ani ją wyprać, a wyrzucić jeszcze szkoda. Poszarpane mam myśli jak nieudany pasjans. Przy ojcu się nie upijam, więc i to pozostanie nietknięte do powrotu. Walę się na pustą kanapę, niech płynie czas, stary złodzieju. Niech się dzieje.

*

Powoli jak dwa zmęczone konie przeciskamy się stępem przez jesienną mgłę. Ja i mój przyjaciel, Kal, który ma szczęśliwe oblicze – stał się posiadaczem wypracowanej wypłaty.

Może kupimy flaszkę – proponuje radośnie
Nie wie, że do ojca nie przychodzi się z alkoholem, bo można solidnie oberwać. To jego pastwisko i tam króluje tylko jego wódka.

Flaszkę kupimy w drodze powrotnej – ratuję sytuację i tym stwierdzeniem zamykam temat.

Wchodzimy w ciemną sień kamienicy. Gdzieś wysoko słaba żarówka rzuca lekką poświatę na kręte schody. Smród i wilgoć wciskają się nieubłagane w nozdrza. Tak pachnie 300 lat uwięzione w murach, w których szczurze odchody są starsze od najstarszego lokatora. Prześlizgujemy się przez schody wciągając się po poręczy, pod same drzwi. Wchodzimy bez pukania – to też jedno z dziwactw ojca – pukasz? Nie wchodzisz.

Puka tylko komornik! – Powtarza od zawsze – i zakład pogrzebowy, trumną o próg!

Przy pustym stole siedzą dwaj starcy. Mój ojciec i jego przyjaciel Janek Tapicer. Nad nimi zawisła posepną cisza, posepną i ciężka jak ich starość. Coś się wydarzyło, coś szczególnego i ważnego. Ojciec trzyma Janka za rękę i patrzy bezmyślnie w blat stołu. Oczy czerwone i podpuchnięte zawiesili w bezruchu. Ojciec na pustym stole, Janek Tapicer gdzieś wysoko pod sufitem. Płakali?

Siadajcie – ojciec rozkłada ręce jakby chciał pokazać swoją bezradność.

Siadajcie – dodaje Janek Tapicer – z nami, przy stole.

Siadamy w milczeniu, bez żadnego powitania, bez podawania rąk. To coś, co się wydarzyło niweluje wszelkie konwenanse. Ojciec

chce coś powiedzieć, ale wstaje od stołu i wyjmuje z kredensu butelkę wódki. Stawia na stole z głośnym stuknięciem jak przybiciem ważnej pieczęci.

Zanim wypijemy – mówi jakoś tak uroczyście – to powiem jedno! – Zawiesił głos - Odnalazł się skarb! Siedzimy w osłupieniu, wpatrzeni w ojca jak w starego proroka. Siwe, rzadkie włosy rozsypały się na poplamionej żółtymi piegami głowie.

Jest bardzo spokojny i w tej swojej przemowie i jakby natchniony.

Pięćdziesiąt lat! – Uderza ręką w stół – Pięćdziesiąt długich lat!

Ale i tak dupa! – Janek Tapicer zaszlochał – tyle lat! Tyle snów na marnie!

Nie wiem, co mam powiedzieć! Myślenie moje zamarło i zmieniło się w twardy kamień. Stojący nad stołem ojciec i szlochający Janek Tapicer. Czy istnieje jakieś słowo? Czym przerwać tę dramatyczną scenę?

To może ja poleję – proponuję nieśmiało – wódka jest dobra - odkręcam butelkę i napełniam szklanę.

A polej, polej – Janek Tapicer zawodzi przez łzy – przyszli i zabrali – skamle – złodzieje!

Wychylamy po jednym w kolejności zajmowanych przy stole miejsc. Ojciec staje w rozkroku jak aktor przed wypowiedzeniem kwestii. Dzisiaj moi drodzy – mówi uroczyście – po wielu, wielu latach poszukiwań odnalazł się skarb – dramaturgia tego oświadczenia poparta jest skomplikowaną mimiką i gestami rąk - Był ukryty w domu Janka Tapicera! – Spojrzał z uznaniem na Janka i pogłaskał go po głowie. Janek Tapicer wyprostował się i nawet uśmiechnął. Wypiął swoją chudą pierś jak do orderu.

To teraz ja wam to opowiem – Tapicer pochylił się nad stołem – przecież widziałem na własne oczy.

Może mój drogi – powiedział ojciec przysiadając się do stołu - zacznij od końca, bo nam tu kogoś wyniosą z nadmiaru emocji. Powiedz ile tego skarbu.

Skarbu jest tyle, co nic – odparł żałośnie Janek Tapicer – jednym słowem dupa! Panowie.

Wypita wódka robi swoje. Wytrzeszczamy oczy na Janka jak na jakiegoś dobrodzieję, który za chwilę obwieści nam radosną nowinę.

Czuję się jak w gromadzie wilków czekających na żer. Za chwilę Janek Tapicer wyrzuci z siebie coś czym się będziemy mogli podzielić.

- Marne te nasze życie – zawodzi.

No nie jest tak źle – wtrąca się ojciec – mamy po sto dolców – pokazuje nam dwa zielone banknoty - ale do rzeczy!

Czekamy z Kalem na opowieść i żądamy – liczymy, wręcz, od Janka by, choć trochę wypełnił naszą próżność szelestem, lub brzękiem mamony.

No, więc tak – Janek Tapicer rozsiadł się wygodnie – przyszło ich dwóch. Jeden w takim szarym prochowcu, a drugi w kapeluszu. Tyle pamiętam. Przedstawili się jakoś tak szybko, że nie wiem...Tacy normalni faceci.

Polewaj Kalu – przerwał ojciec i wszystko zatrzymało się w miejscu. Czas i emocje skupiły się na Janku Tapicerze.

Janek świadomy swojej roli położył dłoń na stole.

Pamiętam, że w moim mieszkaniu, jeszcze w czasie okupacji, było biuro zarządu getta, No, wiecie, taka grupa najbardziej zaufanych, którzy pertraktowali z Niemcami w różnych sprawach.

Ja to pamiętam – mówi z triumfem ojciec – często tam przychodziłem – czasami mieli coś do powiedzenia.

No, więc właśnie – Janek wypił swoją kolejkę – do rzeczy!

Do rzeczy – potwierdził ojciec.

Poprosili, nie powiem, bardzo grzecznie o krótką rozmowę. Rozmawiali rzeczywiście krótko. Jeden, ten w kapeluszu, położył na stole 200 dolców i poprosił żebym poszedł sobie na mały spacer. Jak wiecie, u mnie w domu nie ma nic ponad wartość 200 dolarów, więc zgodziłem się bez wahania. Usiadłem przed kamienicą na ławce i czekałem. Myślę sobie, posiedzę 15 minut i wracam do chaty. Nie upłynęło 10 a oni już wychodzili z bramy. Podeszli do mnie i bardzo mi dziękowali. Ten w kapeluszu przeprosił za lekki bałagan, jaki zostawili w pokoju. Wracam do domu i co robię? Pędzę do pokoju! Patrę, a tam, pod oknem, odsunięty parapet! Był zamontowany na takich specjalnych zaczepach! Ludzie! Tam była skrytka! Tam był schowany skarb!

No! Janku Tapicerze – ojciec poklepuje go po ramieniu – nie wiesz, co tam było schowane, a ja sobie tak myślę, że tam może były jakieś dokumenty? Nawet archiwum getta!

A dupa! – Wrzeszczy Janek – dokumenty to nie skarb?

Ale – odpiera ojciec – ten skarb nie był twój, a przyszli po niego jego właściciele. Nie rozumiesz? Może to jacyś z rodziny starego Blummena, którego było to mieszkanie?

Tak – Janek powoli odzyskuje spokój – Blummena znałem osobiście. Pamiętam jak schodami w dół, z rynku do placu targowego łała się rzeka krwi. Potem już go nie było – przez chwilę zatopił się w dalekich wspomnieniach – krew płynęła całą szerokością schodów, a ja tak bardzo uciekałem. Dobiegłem do Dunajca i wskoczyłem do wody, chciałem się gdzieś schować. Od tej masakry nie chodzę już tymi schodami. Są niewiele mniejsze od całej ulicy Żydowskiej.

Podobne są tylko w Odessie – postanowiłem się wmieszać – Panowie! Szukaliście skarbu prze 50 lat. Nie wiecie czy akurat tego skarbu, więc przestańcie teraz się tym przejmować. Wasze wysiłki są skończone! – Napilem się wódki – Już tato nie rozbierzesz pieca ani nie zerwiesz parkietu. Pan Janek nie skuje tynku ze ścian. Czy to nie jest szczęście? Macie już spokój!

Mój syn ma rację – ojciec patrzy na mnie z dumą – szczeniak a jaki mądry!

Chyba ma rację – dodaje spokojnie Janek Tapicer – stoimy nad grobem, więc, na jaką cholere nam skarb. 50 lat grzebaliśmy się w tym guzu i mamy nagrodę. Nasze dzieło dobiegło końca.

Zrobiło się jakby jaśniej w pokoju, a jednak smutek leżał nad stołem jak jesienna mgła.

*

Wracamy z Kalem do domu. Powoli, noga za nogą wlecemy swoje ciężkie myśli. Przed nami jeszcze wizyta w monopolowym sklepie i radosne urodziny. Idziemy bez słów, każdy zatopiony w swoich marzeniach, każdy ze swoim skarbem, który gdzieś leży sobie i czeka na odkrycie.

Przed wyjściem ojciec wziął mnie na bok i wręczył całe 100 dolarów – Kup coś Maryli powiedział - niech ma.

Na drugi dzień umarł Janek Tapicer. Po pogrzebie ojciec włożył do skrytki pod parapetem 100 dolarów Janka i skrętnie zatrzaskał zamek. Tak rodzi się nowa legenda, legenda o ukrytym skarbie.

Maryla wróciła i zapełniła swój zimny dołek, wygnieciony na kanapie.

J.R.

„DZIEŃ ZA DNIEM” odc.12.

Po południu, zgodnie z wcześniejszym telefonem, zapomniałem o nim tutaj wspomnieć, odwiedziła mnie moja uczennica, Rajka, z drugiej klasy. Przygotowała pracę na konkurs historyczny Ośrodka „Karta”. Przejrzałem jej dzieło i obiecałem przepisać na dyskietce. Przyjdzie dzisiaj po odbiór tej pracy. Przepisując wprowadziłem nieco zmian stylistycznych, nieco tekst skróciłem.

Zwłaszcza, kiedy narracja dotyczyła kwestii nie dotyczących wprost spraw jej rodziny, bo tematem konkursu jest „Rodzina w wirach historii”. Do tekstu dołączone są odbitki kserograficzne fotografii i dokumentów. Cała historia jest bardzo ciekawa ze względu na polsko-romskie korzenie rodziny Rajki.

Jej pradziadek Józef Jakubowski brał udział w „osiemnastej bitwie świata” w 1920 roku i za bohaterstwo otrzymał odznaczenie od marszałka Piłsudskiego. Pozostała w rękach rodziny jego książeczka wojskowa jako dowód tamtego wydarzenia. Drugi pradziadek, Alojzy Beschoerner walczył w czasie I wojny światowej. Był austriackim grafem. Jakubowscy pochodzili z Kąkolnik koło Stanisławowa.

Dokumenty zaświadczać zamieszkiwanie w rejonie Tarnopola i Husiatynia. Babcia Kornelia Jakubowska z domu Laskowska też była hrabianką a z kolei przeciwnie babcia Beschoerner, synowa grafa, prostą góralką, z domu Gąsiorek. Pochodziła z Kłęczan koło Nowego Sącza. Związki te doskonale ukazują wymieszanie społeczne jakie pod koniec XIX wieku nastąpiło. Syn Józefa, Franciszek Jakubowski w czasie II wojny światowej kilkunastoletni chłopak został uprowadzony przez banderowców do nieodległego od Kąkolnik lasu.

Tam straszliwie skatowany. Kazano mu wstać i uciekać. Była to zima 1943 r., a on rozebrany, broczący krwią, uciekał. Strzelano za nim w jego plecy. Śmierci uniknął cudem. Gdy dotarł do domu nie chciano go wpuścić. Obawiano się potwornej zjawy i tylko po głosie go rozpoznano. Wszyscy zaraz musieli uciekać. Skierowali się do Stanisławowa, gdzie schronienia udzielił im Ukrainiec, przyjaciel

Józefa. Na tym przykładzie widać wyraźnie, że nie można osądzać całego narodu na podstawie zachowań grup nacjonalistów. W Stanisławowie Józef i Franek Jakubowscy znaleźli pracę na miejscowym lotnisku. W 1944 rozegrał się dalszy etap dramatu. Komuniści całą rodzinę wysiedlili. Wsadzano Polaków do pociągu i zależnie od tego do którego wagonu kto się dostał, tam trafił. Najbliższych rozproszono po całej Polsce. Szukali się potem przez lata. Dziadek Rajki dojechał do Tarnowa. Rodzeństwo babci Rajki, Bożeny Beschoerner, bracia Zdzisek i Zbyszek trafili do wojska. Zbigniew Beschoerner pływał na okręcie „Burza” i trakcie kampanii norweskiej stracił oko. Po wojnie schorowany, ze sztucznym biodrem i cierpiący na nogi wyjechał z Anglii do Australii. Mimo inwalidztwa był w 1997 r. w Tarnowie.

Zdzisław Beschoerner został lotnikiem i uczestniczył w bitwie o Anglię. W Anglii pozostał do dziś. Za zasługi wojenne otrzymał obywatelstwo brytyjskie. Dramatyczne są przeżycia z okresu II wojny światowej rodziny Andraszów. Rodzice babci Andraszowej, z domu Siwak zostali zamordowani na oczach swojej córki Marysi. Tatę Niemcy zastrzelili a mamę podpalili zamieniając w żywą pochodnię. Wydarzyło się to koło Kopytowa blisko Jasła. Dziecko przechowywały siostry klaryski z Sącza. Po wojnie trafiło do domu dziecka w Chorzowie. Zginęli też rodzice dziadka Fryderyka Andrasza, zamordowani w Radożycach. Ciocia Antonina Popowska wraz z rodzicami trafiła do Auschwitz. Zaraz po przyjeździe rodziców zastrzelono. Antoninę umieszczono w obozie doświadczalnym. Była wtedy w ciąży i robiono na niej doświadczenia. Udało jej się uciec z obozu i po latach zwiedzając oświęcimskie muzeum zobaczyła swoje zdjęcie wśród nieżyjących. Oczywiście powiadomiła kierownictwo Muzeum-Obozu o tym nieporozumieniu. O tej sprawie nakręcono krótki film dokumentalny. Przechowuje go na kasecie video tato Rajki. Niełatwy był los młodszego rodzeństwa Zdzisława i Zbigniewa Beschoernerów, Leszek i Lidia zostali wywiezieni do Niemiec do pracy. Najmłodszy Bożena, Jurek i Wiesia trafili do niemieckiej szkoły w Czechach, przeznaczeni do germanizacji. Dzięki temu iż Bożenie udało się wysłać rozpaczliwy list do ojca, on odszukał ich i wyrwał stamtąd. Brak szczegółów okoliczności tego zdarzenia. Ojciec ukrył dzieci w Kłęczanach ale nie mógł ich widywać do końca wojny. Po wojnie

rodzina Beschoernerów zmieniła nazwisko na polsko brzmiące. Dzięki Rajce mój dziennik wzbogacił się o kolejny przykład powikłanych losów polsko-austriackich, polsko-romskich. Naprawdę historia rodzinna ujawnia związki i przypadki, których istnienie oczywiście znamy i niejako podskórnie sobie je sobie uświadamiamy ale dopiero wtedy, kiedy zostają urzeczywistnione poprzez konkret, ich rola staje się wyraźna. I nie może być wątpliwości, że Polacy są różni, różni pod względem pochodzenia, różni pod względem świadomości. Nie są nietolerancyjni pomimo marginesowych zachowań ksenofobicznych, pomimo niewielkiej ale za to hałaśliwej grupy nacjonalistów wyrządzającej największe szkody naszej nacji. Te rozważania skłaniają mnie do uogólnienia w poezji już istniejącego, że w przyszłości miejsce ma tylko jedna nacja, „ludzie szlachetni”. Do tego można dodać garść informacji z artykułu z lutowej „Polityki”, Jerzego Duszyńskiego pt. „Biały murzyn”. Autor pisze na temat badań współczesnej biologii i wyjaśnia, że nie jesteśmy ewolucyjnym wynikiem mieszkanki homo sapiens i homo neandertalis. Z danych biologii wynika coraz jaśniej, że nie ma grup ludzi czystych rasowo. Na wszystkich współczesnych możemy patrzeć jak na dalszą lub bliższą rodzinę! Nie ma Polaka bez domieszki krwi niemieckiej, litewskiej, rosyjskiej, żydowskiej lub ukraińskiej, kolejność nacji podana jest przypadkowo. Tak samo nie ma dziś Niemca czy Żyda bez domieszki polskiej krwi, tak brzmi konkluzja, wybita w podtytule artykułu. W piątek zawiozłem taksówką druk zwolnienia lekarskiego do pracy. Ola źle się czuła i nie chciała tam iść sama. Z powrotem też autem podjechałem na ulicę Krakowską do biblioteki po pieniądze za spotkanie w lutym, których jeszcze nie odebrałem. Stamtąd ponieważ to tylko „dwa kroki” zajrzałem do redakcji „Krakowskiej” po fotografię, którą zostawiłem redaktorowi Krzysztofowi do wywiadu na temat publikacji archangielskiej. Kiedy mnie zobaczył zapytał co słychać? Odparłem iż właśnie choruję i wpadłem tylko przelotem z pracy, gdzie zostawiłem zwolnienie. Podszedł mnie jednak chwytem „Od pana zawsze można się dowiedzieć czegoś ciekawego”. Podałem mu zatem informację o Nauczycielskim Klubie Literackim. Dziś w sobotę już o tym czytałem w gazecie. Tekst uzupełnia fotografia, którą mi zrobił. Odwiedziła mnie mama i stąd mam gazetę. Choroba na szczęście mija a ja od poniedziałku muszę zacząć chodzić na

masaże, bo nie da się tych zabiegów przełożyć na żaden inny termin. Wszystkie do końca roku są już zajęte!

W tym tygodniu największy problem to sprawy Tadeusza. Basia zaczęła się pakować. On szuka innej pracy. Złożył ofertę ale co z tego wyjdzie? Zaproponowałem mu skoro obecnie nie ma pieniędzy a nam też „wisi z kasą”, żeby jeśli ma związać mieszkanie dał mi w ramach rekompensaty za pożyczkę zegar, który spróbuję sprzedać. Dzisiaj tj. w czwartek przyniósł mi ten zegar razem z Maćkiem. Zaskoczony jestem prędkością Jego działania i martwię się abym nie był tym, który przyspiesza rozpad ich „chaty”.

Ale tak naprawdę to sam Tadeusz robi co uważa za słuszne i jest głównym aktorem zaistniałej sytuacji. Basia z Emilem wyjedzie ale co on ma zrobić z dziećmi Maćkiem i Wackiem. Mogą wyjechać do Krakowa, do Ewy. Po obiedzie byliśmy u rodziców. Tato z mamą się posprzeczał mówiąc o tym co było 4 lata temu, kiedy Tadeusz miał się sprowadzić do Tarnowa. Teraz to niczego już nie zmieni i mądrość po czasie nawet jeśli przyznamy mu rację, że przewidywał taki rozwój wydarzeń nic nie daje. Mama aż miała łzy w oczach.

W bardzo tragicznej sytuacji jest też Marian, nasz przyjaciel. W dzień po naszej wizycie u nich pojechał na klinikę do Krakowa. Tam miał zapaść i w trakcie ratowania go, złamano mu szczękę i zebro. Przez jeden dzień był nieprzytomny a teraz jest pod intensywną opieką lekarską. Boję się o jego życie. Od ponad roku codziennie modlę się o jego zdrowie.

Telefonował pan Marian z Łodzi, obiecałem mu list. Odpisałem do Elki, do Chicago, ale w obecnym nastroju odbiło się to na treści relacji tego co u nas słychać. Włożyłem do koperty sporo fotografii, m.in. nasze ze studniówki, (ja i Ola), nasze u Kudelskiego na herbatce, Tadeusz z mamą tańczący w Sylwestra, Tadeusz z Milusiem, Maciek na wernisażu, Basia z Milusiem i Gerard z Julią u nas. Wszystkich i tak nie opisze. Dla Eli ważne będą zdjęcia grobu jej mamy i moje z Leonem przy grobie jej babci Rychlewicz-Rumanowej (siostry mojej babci).

Zagładnęła do nas Pela, pożyczyć książkę dla Juli. Julia prosiła o nią telefonicznie ale nie przyszła sama bo trafił się jej okazyjny wyjazd do Warszawy. W sumie dałem 2 różne pozycje: Prokopczuka „Historię Powszechną” i Sczanieckiego „Historię państwa i prawa”.

W pracy po lekcjach zajęty byłem wysłaniem prac na konkurs ogłoszony przez ministra edukacji pt. „Katyń – Golgota Wschodu”. Pan Zdzisio z którym rozmawiałem o tym jeszcze przed moją chorobą, aby był przygotowany do zapakowania obrazu olejnego Julka S. i dwóch plakatów: Tomka G. i Rafała N. był zajęty czymś innym i kazał na siebie czekać do 12.30 tj. półtorej godziny. Szkoda mi było czasu i razem z wymienionymi uczniami poszedłem do sklepu agd (artykuły gospodarstwa domowego – pralki, lodówki itp.) na ulicę Szeroką, poprosić o karton z opakowań. Dostaliśmy to co nam było potrzebne i młodzież sama zapakowała swoje prace. Potem pojechałem z nimi do delegatury kuratorium. Tu należało przesyłać zgłoszenia i wykonane prace, bez pośrednictwa poczty złożyliśmy nasze dzieła.

Wieczorem byliśmy krótko u Tadeuszów. On wrócił wcześniej z „Jutrzenki”, mocno zakatarzony i z temperaturą. Uciekliśmy przed wirusami. Kiedy wróciliśmy do domu telefonowała jeszcze Mariola Zagórska z prośbą o pomoc w ułożeniu tekstu podziękowania dla biskupa za udzielenie sakramentu bierzmowania. Obiecałem Jej, że skontaktuję się ze znajomym księdzem i zapytam go o właściwą formę takiego wystąpienia. Na plebani byłem nazajutrz i spotkałem tam Julę, siostrę Marzenki w wielkiej komitywie z dyżurnymi zakonnicami.

Siostry poprosiły księdza, który podyktował mi stosowne zwroty i cytaty z ewangelii św. Jana. Oddzwoniłem Joli, że mam potrzebny jej tekst podziękowania. Ma po niego przyjechać do nas Tomasz.

Rano zadzwoniła mama prosząc mnie abym przyszedł do Tadeusza. Trochę się wystraszyłem o stan jego zdrowia. Na miejscu okazało się, że nie jest bardzo źle ale skończył mu się biseptol i nie ma żadnych innych lekarstw. Trzeba też było iść do „Jutrzenki” oddać za niego dług, który miał uregulować do godziny dwunastej. W sumie poszliśmy razem z mamą. W aptece mamie udało się przekonać farmaceutkę aby sprzedała biseptol, bez recepty, którą mama obiecała dostarczyć.

Po południu okazało się, kiedy spotkaliśmy sąsiadkę, wychowawczynię klasy Wacka, że on od środy czyli już przez 3 dni nie chodzi do szkoły, bo powiedział, że przenosi się do Krakowa. Oczywiście wyjaśniłem jego kłamstwo. Wiedziałem od mamy iż w

piątek wysyłała go do szkoły a on zabrał plecak i poszedł ale jak się okazało nie doszedł do celu. Basia go kryła bo po wyjaśnieniach Wacka wyszło na jaw, że mu powiedziała „idź się przejść”. Przeszedł się więc do „Jutrzenki” do Tadeusza, który jak widać też “nie wie”, kiedy Wacek ma być w szkole! A gdy babci już u nich nie było, wrócił do domu. Kolejne dwa dni to rzekomo jego samowola. Ale przykład miał dany a poza tym był w tym czasie z Basią i „pomagał” jej się pakować. Ona jednak nie weźmie go z sobą do swoich rodziców, bo oni się na to nie godzą. Ze swoją mamą też nie rozmawiał na temat przeprowadzki i nie wiadomo czy byłby przyjęty zwłaszcza bez pieniędzy od Tadeusza. Koszmar się zagęszcza. Wacek kręci. Jak ich wychować? Przecież Wacek będzie zdawał na koniec szkoły podstawowej egzamin kompetencji i wyjdą braki.

Obserwując Maćka też widzę jego zniechęcenie do nauki i miganie się od książek. To nie jest dobry prognostyk na przyszłość. Tadeusz jest zdenerwowany ale to nie usprawiedliwia jego słów, które używa mówiąc do nich i do Basi. Jak to słyszę i widzę głośno protestuję ale na niego to już nie działa i wstydzę się ja za niego, że tak się zachowuje! Dla taty i mamy cała ta historia jest strasznym przeżyciem. Boję się o ich kondycję psychiczną i fizyczną. Będąc u nich razem z Olą zagraliśmy z nimi w bridge’a. Mój stan i ich zaaferowanie najlepiej oddaje śmieszny epizod, który nastąpił podczas rozgrywki. W trakcie ustalania kontraktu Ola wylicytowała bezatu, mama 2 kiery, ja nie miałem punktów więc aby „nie zamykać” Oli powiedziałem 2 bezatu a rozgrywkę poprowadziła mama nakazując mi wistować. Zorientowaliśmy się wszyscy dopiero po skończonej grze w tej nieprawidłowości.

Bardzo dawno temu przydarzyło się coś w tym stylu Tadeuszowi, który wywindował kontrakt do 8 pików i oczywiście mimo szlema „leżał bez jednej”. Oba przypadki są charakterystyczne dla różnic jakie występują pomiędzy nim a mną. On wydaje się być maksymalistą i często poprzez to się wyklada, bo chce mieć za dużo na raz, ja nawet mając za sobą „atuty” mogę się wycofać bo trochę brak mi siły przebicia. Może Ola by tego o mnie nie powiedziała, gdyż porównując się ze mną ona jest jeszcze bardziej „wycofana” ale nie zmienia to mego punktu widzenia.

Po bridge’u poszliśmy do miasta i wstąpiliśmy na sernik do cukierni-kawiarni Kudelskiego. Tam spotkaliśmy moją eks

uczennicę, zaprzyjaźnioną z Tadeuszem, Agatę z synkiem Miłoszem i jego ojcem Mirkiem. Oni zapytali co słychać u „Tadeuszów” a dowiadując się o jego przeźębieniu postanowili go pocieszyć ciastkami. Jak się potem okazało u niego, ona miała też prośbę o reparację zegarka. My poszliśmy za nimi do „Tadeuszów” po serniku i herbacie truskawkowej.

Przezabawnie było oglądać spotkanie dwóch kolegów Milusia i Miłosza (2 miesiące starszy). Miluś chciał dać Miłoszewi własny smoczek, obydwa bawili się puszkami po piwie.

Według mnie niezbyt to bezpieczne zabawki. Podobne zdanie miał Mirek ale wobec aprobaty mam, ustąpił. Potem Miłosz zabrał się za odkurzacz, całkiem fachowo go włączył i precyzyjnie poruszając rurą pozbiierał śmieci!

Po weekendzie miałem tydzień obfitujący w dwa ważne wydarzenia. We wtorek drugie spotkanie w Nauczycielskim Klubie Literackim i zależało mi na tym, aby odbyło się ono przy lepszej frekwencji (co się udało, bo Kaziu Karwat przywiózł ze sobą tak jak obiecał Mirka Przybyłę, przyszła też Ania Maksymowicz) a w środę o 16-tej było bierzmowanie mego chrześniaka, Tymka Zagórskiego. Przyjechała też chrzestna Tymka a moja kuma, Edyta Olakowska, aktualnie lekarka z Katowic, z mężem Markiem też lekarzem. On jest adiunktem Śląskiej Akademii Medycznej. Było miło i uroczyste, tak w trakcie uroczystości kościelnej jak i potem u rodziców Tymka. Moją uwagę zwróciło, że żaden chłopiec stojący opodal nas nie wybrał imienia Franciszek, które jak mi się zdaje zanika obecnie pomimo fantastycznego przesłania niesionego poprzez myśl franciszkańską i porywającej biografii świętego z Asyżu. Zrobiłem parę fotografii.

Na 20-tego marca miałem termin szkolenia w Małopolskim Centrum Doskonalenia Nauczycieli. Przygotowałem na te zajęcia propozycje standardów oceniania w klasie drugiej liceum z materiału uwzględniającego XVIII stulecie. Praca ta została opublikowana przez Centrum w postaci broszury jako „Materiały dydaktyczne dla nauczycieli” obok pracy zespołowej w której również uczestniczyłem a dotyczącej takich samych standardów dla klasy czwartej liceum. W zespole pracowaliśmy pod kierunkiem pani Basi, doradcy ODN-u a spośród znanych tarnowskich historyków byli obecni m.in. Teresa Kopczyńska, Krystyna Lewińska, Marek Jachym

(studiował razem ze mną), Elżbieta Niedzielska, Stanisław Piwowarski, Urszula Rusin (nasza sąsiadka), Dorota Skrzyńiarz. Na 28 marca zapisaliśmy się na kolejne warsztaty przygotowane przez Elę Niedzielską na temat „Polska – Ukraina trudne sąsiedztwo”. W trakcie tych warsztatów narodził się pomysł inspirowany moim konspektem.

Postanowiliśmy przygotować sesję poświęconą naszemu tematowi. Podzieliliśmy się problematyką a całość mam poprowadzić ja wg. wstępnego założenia 2 czerwca, w czasie „Dni Tarnowa”. Bożena Jewuła (koleżanka ze studiów) opracuje powstania kozackie, Jurek P. stosunki polsko-ukraińskie w latach 1918-1920 ze szczególnym uwzględnieniem idei Semena Petlury, Piotr D. historię rzezi na Wołyniu, Ania Żak Akcję Wisła”, Basia Czosnyka obóz w Jaworznie, Ela Niedzielska, dziedzictwo kulturalne Polski na kresach, Piotr P. deportacje Polaków.

Ważnym wydarzeniem była pielgrzymka papieża do Ziemi Świętej. Śledziłem ją z zapartym tchem. „Dziennik Polski” publikował zdjęcie Jana Pawła II oglądającego dolinę Jordanu z platformy na górze Nebo. Stąd oglądał Kanaan Mojżesz. Papież wezwał do rozwiązywania konfliktów targających Bliskim Wschodem metodami pokojowymi. Król Jordanii zwrócił się do Ojca Świętego słowami „Przypomnij nam to, o czym zapomnieliśmy: o cnotach wiary i bezwzględnej potrzebie wybaczenia wrogom”. Pielgrzymi szlak wiódł też do Betlejem, do Bazyliki Narodzenia.

Małopolski Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli wydał broszurę poświęconą warsztatom i sesji na temat polsko-ukraińskiego sąsiedztwa, którą otwiera mój tekst na temat „Co nas dzieli a co łączyć może”. Przed nim jest jeszcze wiersz naszej znajomej z Ukrainy, Wiki, przetłumaczony przeze mnie i Tadeusza, mego brata.

Piszę z perspektywy 2 miesięcy, bo tak okres przed maturą jak i w trakcie jej trwania był dla mnie szczególnie gorący. Fakt, że maturę zdawała moja klasa powodował masę papierkowej roboty, z finałowym pisanem świadectw w dwóch egzemplarzach dla każdego absolwenta. Pisałem do godziny trzeciej w nocy czy raczej trzeciej rano.

W sumie nie zdała egzaminu z języka polskiego tylko Jadzia ale sama jest sobie winna bo dużo lekcji opuściła i te braki wyszły podczas zdawania. Reszta przeszła wszystkie sita pozytywnie chociaż oceny nie były oszałamiające. Najlepiej wszystkie egzaminy pozdawała Nadina, przewodnicząca klasy. Rodzice moich pociech postarali się bardzo i wszystkie poczęstunki, śniadania, obiady wypadły okazale, ponadto po wszystkim otrzymałem od nich na pamiątkę długopis i pióro „parkera”. Z klasy IV b też na j. polskim „padła” jedna uczennica, Kasia. Na egzaminach ustnych nie zdała powtarzająca maturę Edyta, jeszcze z klasy mojej mamy tj. sprzed 2 lat. Będzie powtarzać po wakacjach.

Przeszły też już egzaminy wstępne do gimnazjum i do liceum. Chodziłem do szkół podstawowych reklamować gimnazjum w 6-letniej ogólnokształcącej Szkole Sztuk Pięknych. Byłem też w szkole im. gen. Bema i rozmawiałem z dyrektorem Szczeklikiem, także o powiązaniach rodzinnych. On doskonale zna moją kuzynkę Elę i jej brata Siemka. Teraz pozostaje jeszcze klasyfikacja pozostałych klas.

Spotkania w ZNP, w marcu, kwietniu i maju były udane. Krąg przybywających na spotkania się poszerza. Była pani Frysztakowa, była Ania Karecka i Andrzej Szczepański. Od Ani dostaliśmy kasetę magnetofonową z piosenkami do jej słów, także innych autorów i wykonawców. Muzyka przypadła do gustu Oli a ja jestem szczęśliwy bo dzięki niej Ola przełamuje się i wstaje rano, co było trudne do pokonania. Panią Józefę Frysztakową odwiedziłem u niej w Tarnowcu, zapraszając już na spotkanie czerwcowe, które zorganizujemy w Pałacu Młodzieży, łącząc je z fetą na Jej cześć. Opowiedziała mi przy okazji jak to odwiedził ją rzekomo urzędnik z gminy a w rzeczywistości zwykły oszust. Wkradł się w jej łaskę kłamstwem iż gmina przyznała jej 2 tys. zł zapomogi. Zaproszony z przystanku do domu, rozglądał się niepewnie stale wyglądając przez okno. Żądał 20 milionów starych złotych na jakieś koszty i nie zbity z tropu oświadczeniem o nie posiadaniu takiej kwoty przekonywał, że każdy stary człowiek ma odłożoną gotówkę na czarną godzinę. Ostatecznie wycofał się jednak przykazując nikomu nie mówić o swojej wizycie. Po jego wyjściu do pani Józefy zaraz przybiegła sąsiadka z zapytaniem dlaczego przyjmuje w domu podejrzanego typka. Obserwowała całe zajście i stała przy płocie patrząc na dom pani Józefy, ratując ją w ten sposób przed gorszymi być może

przygodami. Obecnie słyszy się coraz więcej takich historii i niestety takie zachowania, różnych oszustów są typowe.

6 maja odbyła się promocja kolejnego magazynu „Kajetu”. Była Beata (była też na spotkaniu kwietniowym w ZNP), parę nowych debiutujących osób. Wierne autorki: Sylwia, Ola, Ewelina, Gosia, Magda i inne. 16 maja odbędzie się wreszcie promocja zbioru wierszy Uli Banaś. Wszystko przeciągnęło się znacznie w czasie, bo ja napisałem całość wstępu i zredagowałem zbiór ale tato Uli chciał jeszcze raz wszystko przeglądnąć i zamierzał całość drukować ale ostatecznie edycja wróciła do biblioteki. Zmienił się też tytuł na „Przeznaczona objęciom samotności”. Dziadzio Uli jest znanym tarnowskim nauczycielem. Jeździł na obozy sportowe opiekując się jeszcze moją mamą, o czym dopiero teraz się dowiedziałem. Jest też weteranem, prezesem Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Tarnowie. Jest bardzo sympatyczny i otwarty. Można z nim bardzo ciekawie rozmawiać, nie tylko o historii.

Tadeusz zakończył działalność handlową w „Jutrzence” i udało mu się uzgodnić z bankami dogodne terminy spłaty długów. Żyją teraz dzięki pomocy rodziców. Basia poszła do pracy, Miluś do żłobka przy ulicy Gosłara, gdzie byłem wcześniej pytać się o miejsce i możliwość jego przyjęcia. Tadeusz podjął szkolenie się w firmie ubezpieczeniowej.

Waldek wrócił o ok. 2 tygodnie wcześniej z wojska bo zmieniła się ustawa i nie musiał dosługiwać pełnego roku aby nie tracić przywilejów związanych z zakończeniem rocznej służby. Ma pieniądze od rodziców i odprawę i wydaje to lekką ręką a szkoda. Pierwotnie planował zakup komputera ale chciał za drogi a tato nie zadeklarował dokładać się przed czasem zanim bank dopisze odsetki na koncie terminowym.

Wydaje się, że komputer już poszedł na „przelew”. Obserwuję zagubienie Waldka, który teraz niańczy Milusia, kiedy ten znowu chory nie idzie do żłobka (w pewnym sensie oddaje to czym się ja przysłużyłem jemu, kiedy był ze i innych młodych ludzi. Nie o jakieś jednostkowe bowiem historie i przykłady tu idzie ale o świadome zakorzenienie, ciekawość życia, w tym ciekawość tego co było wcześniej? Jaką nauką dla nas mogą być doświadczenia wcześniejszych pokoleń? Czego nie musimy sami przerabiać, otrzymując cięgi, czy płacąc tzw. „frycowe”.

Wszyscy mają własne historie rodzinne do odkrycia, mogą też czerpać z tych tutaj opisanych i łączyć je z sumą osobistych doświadczeń.

W herbarzach Niesieckiego i Uruskiego można przeczytać „Rychlewicz herbu Pobóg, Jan, w powiecie słonimskim, 1633 roku. Jan syn Adama zatwierdzony w szlacheństwie przez deputację szlachty i zapisany do księgi szlach. guberni kowieńskiej.”

Według utrzymującego się w rodzinie podania Rychlewicze przybyli do Małopolski po wielkiej powodzi na Litwie. W którym to jednak mogło być roku? Na to pytanie nie ma odpowiedzi. Podobnie jak na pytanie o oboczną formę tego nazwiska, Rachlewicz. W miejskiej bibliotece natrafiłem na starodruk z 1698 r. Bazylego Rychlewicza, „Kazania poczynszy od adwentu aż do wielkiej nocy...”. Wydane w Krakowie u Mikołaja Schedla, kart 468, nrb 8. Jeśli pod koniec wieku XVII Bazyli Rychlewicz publikował swoje kazania w Krakowie to zapewne mieszkał tam lub w niedalekiej okolicy. Był księdzem albo zakonikiem i mógł mieć wpływ na decyzję części rodziny przyjazdu nawet z tak dalekich stron jak Litwa, na przykład w celu studiów na Alma Matris albo gospodarowania w jakimś beneficjum krewniaka. Że na Litwie Rychlewicze pozostali tego dowodzi ślub córki wbrew zapowiedziom. Podobnie, gdy oglądałem ostatnio w telewizji film pt. „Skandalista Larry Flint” Milosa Formana, podziwiałem zreżysersowanego przez niego trudnego tematu bez obscenii a wybijającego ponad zwykłą biografię przesłanie nie tylko dotyczące granic wolności prasy.

Przez mego byłego ucznia ze Studium, Jasia Stanowskiego zostałem poproszony o odwiedzenie przedszkola w którym pracuje jego żona a również moja eksuczennica Jadzia i zaprezentowanie swojej poezji. Na miejscu okazało się, że Jadzia opracowała program autorski edukacji regionalnej dla przedszkolaków i organizuje wycieczki do Żalipia, Wierchosławic i innych znanych miejsc ziemi tarnowskiej oraz zaprasza na spotkania do przedszkola znanych ludzi. Przede mną był m. in. historyk dr Wróbel. Ja miałem to szczęście być w przedszkolu podczas popisów maluchów z okazji dnia mamy i taty. Odczytałem dwa krótkie wiersze, jeden dla dzieci, drugi dla rodziców, wpisałem się do kroniki, księgi pamiątkowej. Dostałem kwiaty i jak się okazało spotkałem znajomą eksuczennicę

Agatę, która pracuje razem z Jadzią i która grała w czasie występu dzieci na elektrycznych organach. To ta sama Agata, która z mężem i synkiem Miłoszem występuje w niniejszym dzienniku. Spotkałem też mamę Magdy, dziewczyny Miłosza, obecnych uczniów klas piątych. Jej wnuczka właśnie występowała. Jestem już zatem kolegą pań będących babcią! Z mamą Magdy byłem przed laty w kadrze na kolonii w Kisielówce i w Dobrocieszu. Magda i Miłosz już po maturze odwiedzają mnie nadal. Pomagam im trochę w przygotowaniu się do egzaminów na studia. Potem pojadą do Paryża.

Na dzień matki byliśmy u mojej mamy a mama Zosia przyszła do nas sama zaraz, kiedy wróciłem z pracy. Byliśmy też z Olą u jej koleżanki Danuty. Jak zwykle toczyła ciekawa rozmowa, m. in. o filmach, o szkole, o zdrowiu Oli. Ola nadal z trudem ale się zbiera w sobie. Olę odwiedziła Kasia. Były razem na krótkim spacerze w parku.

Marzymy o wyjeździe na wakacje. Już zarezerwowaliśmy na tydzień kwatery w Zakopanem w „Przystani” na sierpnie.

Ela Niedzielska i Basia Czosnyka poinformowały mnie o wzięciu imprezy jaką stanowi przygotowana przez nas sesja polsko-ukraińska. Burmistrz Żabna pan Pantera, eks wicekurator zaprasza nas na przyszłą środę. Będą także występy zespołów pieśni i tańca z kresów. Będę mówił o Ossolineum. Zakład Narodowy im. Ossolińskich porównuje się co do znaczenia i nazywa „Wawelem polskiej kultury”. Broszurę z konspektami lekcji o tematyce związków polsko-ukraińskich i z moim planem sesji dałem mamie, żeby przesała do Wiki na Ukrainę. Spotkałem też w banku Andrzeja Niedojadło, znanego historyka. Zaproponował mi udział w pracy nad encyklopedią Tarnowa. Całością prac kieruje pan Potępa. Byłem u niego w muzeum i umówiliśmy się na spotkanie organizacyjne 1 lipca. Nie wiem czy podołam tej pracy, bo mam mnóstwo innych zajęć, co wyraźnie wynika i z tego dziennika.

Zbliża się pod koniec czerwca 45 rocznica ślubu moich rodziców. Będzie feta! Zbliżają się też imieniny Oli. To już rok jak piszę ten dziennik. Pora go kończyć, choć mnóstwo wątków nie znalazło się na jego kartach. Będzie dla nich miejsce w kolejnych publikacjach, jakie mam nadzieję jeszcze napisać. Teraz dodać chcę jeszcze o sukcesie Rafała N., mojego ucznia w ogólnopolskim konkursie historycznym. Ogłoszony został przez ministra edukacji

prof. Mirosława Handtke pt. „Katyń - Głgota Wschodu”. Rafał otrzymał wyróżnienie na szczelbu województwa małopolskiego od kuratora oświaty Jerzego Lackowskiego. Dodać chcę o sukcesie artystycznym Julka Słomki, który otrzymał na tegorocznym ogólnopolskim plenerze w Jeżowie Grand Prix i o pracy Tomka G., który dał mi ksero odbitki materiałów o swoim dziadku, lotniku RAF-u. Te dokonania uczniowskie, razem z pracą Rajki i pracami jeszcze wielu innych świadczą o tym, że udało mi się zmobilizować sporą część młodzieży do udziału w konkursach i imprezach szkolnych, z czym łączę też ostatni występ Natalii w czasie sesji.

Te przykłady pokazują, że z przygody z historią można wyciągnąć wiele nauki i że jest ona bagażem na całe życie, z jednej strony dając oparcie i podstawę od której można się odbić. Z drugiej strony jest zakorzeniem i ukazaniem wartości o które warto walczyć, może oby nie trzeba było realizować tego dosłownie ale które na pewno warto w życiu realizować.

Zamierzam jeszcze opisać historię rodziny Rychlewiczów, Broczykowskich i Mirowskich. Z nich jak sądzę wynika obecny stan mojej świadomości dający mi siłę do pisania i wszelkiego innego działania i wiarę, że taka moc może też wspierać mego młodszego brata Waldka, mych bratanków ale także i innych młodych ludzi. Nie o jakieś jednostkowe bowiem historie i przykłady tu idzie ale o świadome zakorzenie, ciekawość życia, w tym ciekawość tego co było wcześniej? Jaką nauką dla nas mogą być doświadczenia wcześniejszych pokoleń? Czego nie musimy sami przerabiać, otrzymując ciągi, czy płacąc tzw. „frycowe”.

Wszyscy mają własne historie rodzinne do odkrycia, mogą też czerpać z tych tutaj opisanych i łączyć je z sumą osobistych doświadczeń.

W herbarzach Niesieckiego i Uruskiego można przeczytać „Rychlewicz herbu Pobóg, Jan, w powiecie słonimskim, 1633 roku. Jan syn Adama zatwierdzony w szlacheństwie przez deputację szlachty i zapisany do księgi szlach. guberni kowieńskiej.”

Według utrzymującego się w rodzinie podania Rychlewicze przybyli do Małopolski po wielkiej powodzi na Litwie. W którym to jednak mogło być roku? Na to pytanie nie ma odpowiedzi. Podobnie jak na pytanie o oboczną formę tego nazwiska, Rachlewicz. W miejskiej bibliotece natrafiłem na starodruk z 1698 r. Bazylego

Rychlewicza, „Kazania poczynszy od adwentu aż do wielkiej nocy...”. Wydane w Krakowie u Mikołaja Schedla, kart 468, nlnb 8. Jeśli pod koniec wieku XVII Bazyli Rychlewicz publikował swoje kazania w Krakowie to zapewne mieszkał tam lub w niedalekiej okolicy. Był księdzem albo zakonnikiem i mógł mieć wpływ na decyzję części rodziny przyjazdu nawet z tak dalekich stron jak Litwa, na przykład w celu studiów na Alma Matris albo gospodarowania w jakimś beneficjum krewniaka. Że na Litwie Rychlewicze pozostali tego dowodzi ślub córki Maryli Wereszczakówny-Puttkamerowej z Wojciechem Rychlewiczem. Z zachowanych metryk wynika, że w chwili ślubu Tomasza Rychlewicza z Marianną Piotrowską w dniu 29.XI.1826 r., jego ojciec Mateusz miał 44 lata. Tzn. pośrednio poznajemy rok jego urodzenia tj. 1782. Wiemy też, że już dziadek Tomasza, Stanisław Rychlewicz był mieszczańskim tuchowskim. Przyjmując około 30 lat wstecz na określenie jego roku urodzin otrzymamy mniej więcej datę ok. 1752 roku czyli połowę XVIII wieku. Wtedy to Rychlewicze na pewno byli już w Małopolsce zasiedziali. Nawet forma nazwiska Rychlewicz nie pozostawia wówczas wątpliwości.

Szukając jednak źródłowo imienia własnego rodu skłaniam się do akceptacji formy Rychlewicz jako pierwotnej i kojarzę ją z takim znanym nazwiskiem jak Naglicki czy Fredrowski bohaterem „Zemsty”, cześnikiem Raptusiewiczem. Można więc tłumaczyć Rychlewiczów jako gwałtowników, działających raptem, nagle, pospiesznie czyli rychło w czas. Jak sądzę pochodzenie obu form nazwiska ma podobny sens, tzn. Rychlewicz to człowiek szybko działający, tak jak i Rachlewicz, robiący „rachy ciachu”, „rach ciach ciach”. Gwałtowny charakter miał też brat babci Honoraty, Jan Rychlewicz. Pamiętam jak opowiadał kiedyś o zdarzeniu jakie miało miejsce w Pilźnie. Koło jego zabudowań trzech młodych ludzi usiadło z flaszką i cygarami. Jan był już wtedy mocno po osiemdziesiątce ale „wystartował” do obiboków i pogonił ich, obdzielając razami. Ot, fantazja ułańska, szło mu oczywiście o to, żeby nie zaproszyli ognia.

W dalszej rodzinie zetknąłem się z poszukiwaniami prapoczątków rodziny i tak dla mnie jednak zupełnie niewiarygodnie, odgrzebano postać rycerza Racho, który podpisał unię polsko-

litewską w Krewie. Gdyby zaś przyjąć polskie tłumaczenie nazwiska, można uznać pobyt na Litwie jako osadniczy.

O najstarszym w linii tuchowskiej Stanisławie Rychlewiczu dopowiedzieć trzeba, że ożenił się z córką rymarza, Zofią Cebulską. Już wtedy około roku 1740, Rychlewicz pauperyzuje się, wchodzi w mieszczańskie koligacje. Dla podtarnowskich miast takich jak Pilzno czy Tuchów nie jest to jednak nic nadzwyczajnego. Przeciwnie pełno wśród mieszczan zubożałej szlachty, chwytającej się rzemieślniczych profesji, szewstwa (jak Kiliński), powroźnictwa, handlu solą.

Mateusz, syn Stanisława w metrykach występuje właśnie jako restiarus czyli powroźnik. Żył w latach 1782-1855. Żenił się dwukrotnie, za pierwszym razem z Barbarą Fedorowicz. Była ona matką Salomei (ur.1802), Tomasza (ur.1803), Marianny (ur.26.I.1807, zm. w 1893.), Jakóba (ur.25.VII. 1808, zm.w 1874), Wiktorii (ur.18.VIII.1810), Andrzeja (ur.16.XI.1812), Marianny (ur.7.III. 1815), Anny (ur.19.VI.1817) i Katarzyny (ur.2.IV.1821).

Za drugim razem z Magdaleną Mostowską, córką Józefa, urzędnika salinarnego i Barbary Stańskiej – Mostowskiej. Magdalena Mostowska-Rychlewicz urodziła trójkę dzieci: Barbarę (ur.26.XI.1848, zm.1849), Mariannę (ur.3.VII.1850) i Piotra (ur.7.VI.1853). Zne są metryki ślubów Rychlewiczów. Salomea wyszła za mąż za Wawrzyńca Młyńca, 15.V.1827 r. Wawrzyniec został określony jako textor tzn. sukiennik. O ślubie Tomasza w 1826 r. była już mowa powyżej. Marianna ur. w 1807 r. pozostała niezamężna. Zmarła w wieku 86 lat, w Tuchowie. Jakób jest najśłynniejszym Rychlewiczem. Rodzicami chrzestnymi przyszłego powstańca byli Tekla Rudnicka, obywatelka Tuchowa i Józef Molecki, organista. Chrzcił go wikariusz Antoni Dygasiński. Służył Jakób w wojsku austriackim jako miles stabilis tzn. żołnierz stały w 57 pułku piechoty. W 1846 r. wziął udział w przygotowaniach do powstania narodowego. Stanisław Derus w pracy pt. „Tuchów-miasto i gmina do roku 1945” opisał jego przygody, zmieniając jednak nazwisko na Ruchlewicz. Prostowałem to na łamach lokalnego tygodnika „Temi” 18.II.1993r. Derus niewłaściwie wytłumaczył też łacińskie słowo restiarus-powroźnik, jako szynkarz. Musiało by to być określone słowem dimensor lub tabelnarius (karczmarz). Restiarus to z pewnością nie restaurator. Zapewne

jednak werbowanie ochotników do powstania następowało w szynku, w trakcie popijania i bratania się z ludem. Było to ówczesnie ogólnie przyjętą metodą, włącznie z przebieraniem się za smolarzy, dziadów czy robotników. Czynił tak również dyktator powstania generał Ludwik Mierosławski, przebywając w Krakowie od marca 1863 r., chodził z ogoloną brodą, w stroju przekupnia.

Do tuchowskiej konspiracji należeli m.in. dzierżawca Garbka, Skrzyński, subdzierżawcy Henryk i Ludwik Bielańscy, eksdzierżawca Buchcic, Wacław Łobeski, dzierżawca Siedlisk, Leon Dzwonkowski, właściciele Chojnika Aleksander i Eliaś Dembińscy, Burzyna Aleksander i Roman Różyccy, Karwodrzy baron Florian Niemyski z synem Julianem. Także służba dworska tj. nauczyciele, juryści, mandatariusze, sędziowie, leśnicy i ekonomi. W sporej mierze element o szlacheckiej proveniencji, krwią płacący w dniach rabacji za swój patriotyzm.

Jakób Rychlewicz po tragicznych chwilach, w tym 19 lutego 1846 r. w burzyńskim dworze, jeździł z uratowanym z rzezi Julianem Niemyskim. Przybyli do tuchowskiego klasztoru i do parafialnego kościoła św. Jakuba, aby tam agitować do procesji powstańczej z krucyfiksem na czele mieszczan, w stronę Tarnowa. Tak jak na Podgórzu uczynił to Edward Dembowski. Gdy przemowy nie odniosły skutku, prosił już tylko tutejszego ks. Piotra Woźniaka, aby odprawił za 2 floreny mszę św. w intencji powstania. Dzięki przytomności umysłu ks. Woźniaka porywczych zapaleńców nie spotkał los Dembowskiego. Przeżyli. Epizod ten rzuca ciekawe światło na stan świadomości ówczesnych patriotów. Młody Niemyski ukrył się potem w Jastrzębiej ale odkryty 22 lutego, został tamże zamordowany. Rychlewicz uniknął śmierci od chłopskich kos i cepów. Opłakiwał jednak śmierć bliskich. Stanisław Schnur-Peplowski w pracy pt. „Krwawa karta” dotyczącej rabacji wymienia na liście ofiar Rychlewicza, posesora wsi Łączki koło Pilzna, jednak bez podania imienia. W czasie sesji historycznej w Muzeum w Bochni, poświęconej 150 rocznicy Powstania Krakowskiego i rabacji galicyjskiej wystąpiłem z komunikatem na temat Jakóba Rychlewicza, bojownika powstań z 1846 i 1863 roku. Wstał wówczas i poprosił o głos ks. Stanisław Bobulski, autor książki pt. „Pochodzę z Niedźwiady” i poinformował zebranych: „Ja też piszę o Rychlewiczu!”. Z jego pracy pochodzi szczegółowy opis najścia na

dwór w Łączkach. 20 lutego chłopci z Niedźwiady napadli na dwór i to w nocy. Zrabowali wszystko, potłukli meble, spichlerz rozbili i gumna. Zabili pana posesora Rychlewicza i jego ekonoma. 17 lat później Jakób Rychlewicz ponownie stanął na wezwanie ojczyzny. Widać żołnierski duch go nie opuszczał, mimo 55 roku życia. W pracy prof. Andrzeja Kunisza pt. „Udział ziemi tarnowskiej w Powstaniu Styczniowym” odnalazłem fragment „Rychlewicz Jakób z Tuchowa, walczył w powstaniu. Po powrocie do Galicji zatrzymany uciekł.” Z profesorem rozmawiałem przy okazji uroczystej sesji z okazji 130 rocznicy Powstania Styczniowego w dworze w Dołędze w 1993 roku. Poruszyłem m.in. kwestie udziału Jakóba Rychlewicza w powstaniu. Interesował mnie przede wszystkim pogląd profesora na to w jakim oddziale mógł on walczyć. Być może, na co zgodziliśmy się oboje, zaciągnął się do partii Dionizego Czachowskiego, w czasie kiedy przechodził on przez tereny okolic Tuchowa z rejonu Sącza. O Jakóbie wiem ponadto iż 24.I.1844 r. poślubił Elżbietę Gągolską, wdowę po Pawle Sasaku. Zmarł w 1874 r, w wieku 66 lat. Elżbieta wyszła ponownie za mąż 23.IX.1875 r. za Franciszka Porębskiego. Czy to synowie powstańca Władysław i Konstanty zostali wysłani z Tuchowa do krakowskiego gimnazjum? Szkołę św. Anny Władysław Rachlewicz ukończył w 1857 r. a jego brat Konstanty Rachlewicz w 1864 r.

O rabacji muszę jeszcze dopisać, aby uzmysłowić jak jej pamięć jest żywa na ziemi tarnowskiej o Józefie Stelmachu, pradziadku mego ucznia z klasy której byłem wychowawcą. Pisałem o nim do „Głosu Lisiej Góry” w marcu 1999 roku. Dr Marian Morawczyński, autor pracy pt. „Rzeź 1846” pisał „powstańcy na milę przed Lisią Górą po obydwu bokach drogi spotykali liczne gromady chłopów uzbrojonych w kosy, cepy i widły, podążających w tym samym co oni kierunku. Byli przekonani, że chłopci mają na celu połączenie się z nimi...” Natomiast z dziennika tarnowskiego starosty Breinla von Wallerstern dowiadujemy się iż już 18 lutego chłopci z okolicznych 70 gmin byli u niego, w tym z wójtem Lisiej Góry, Józefem Stelmachem. Zameldowali o tym, że miejscem zbiórki rebeliantów do ataku na Tarnów ma być najwyższej położona Lisia Góra. Sygnałem podobnie jak po południowej stronie miasta miało być zapalenie ognia. Zachęceni przez starostę zapłatą za fatygę chłopci postanowili ująć spiskowców. Pobitych i powiązanych

zamknięto najpierw w karczemnej piwnicy. Tylko postawie wójta Józefa Stelmacha zawdzięczali życie. Odwieziono ich nazajutrz do Tarnowa. Maciek Stelmach opowiada o tym z przejęciem, co dobitnie świadczy o życiu nie tak odległej tradycji. Sam osobiście rozmawiałem z 98 letnim Antonim Rychlewiczem, bratankiem Jakóba! Mieszkalem u niego w czasie moich studiów w latach 1977-1978. Od niego uzyskałem historyczne metryki Rychlewiczów. Grób jego ojca Piotra Rychlewicza, burmistrza Tuchowa odwiedzam corocznie w dniu zmarłych, także grób matki wujka Antosia, Tekli z Drużbackich-Rychlewiczowej.

To nie koniec sagi Rychlewiczów. Mógłbym ją ciągnąć bardzo szczegółowo, bardzo długo. Samo drzewo genealogiczne zajmuje 4 sklejone ze sobą strony A-4. Marianna Rychlewicz, (ur.1815 r.) wyszła za mąż 10.II.1831 r., w wieku 16 lat za Kazimierza Łędkiewicza, owdowiawszy ponownie za Walentego Bernackiego. Jej syn z drugiego małżeństwa Jan Bernacki (ur.4.VI.1856-zm.14.X.1920), został księdzem, dr teologii od 1883 r., od 1907 r. szambelanem papieża Piusa X, od 1916 r. dziekanem kapituły tarnowskiej i infułatem. Siostra Marianny Katarzyna 26.XI.1839 r. poślubiła Franciszka Guskiewicza. Rodzeństwo przyrodnie, dzieci Magdaleny Mostowskiej-Rychlewicz to Barbara (ur.1848-zm.1849), Marianna, która 19.XI.1871 r. wyszła za mąż za Jakóba Zdziarskiego, s. Sebastiana. Wreszcie Piotr Rychlewicz wstępujący w związek małżeński 29.I.1879 r. z Teklą Drużbacką, córką Antoniego i Magdaleny Krok.

W tym miejscu dygresja dotyczy rodziny Drużbackich. Najstarszą wiadomością jest publikacja z 1652 r. ks. Kacpra Drużbackiego, jezuita, „Memoriał processu Akademii Krakowskiej do stanów koronnych”. Był zatem Drużbacki jak Bazyli Rychlewicz krakowskim kaznodzieją. Jego dzieło wcześniejsze o 46 lat ma związek z Akademią. Krag opisywanych przeze mnie rodzin, wcześniej Trzecieckich, (od 1542 r. co przypominam) teraz Rachlewiczów-Rychlewiczów i Drużbackich należy do grona tych, w których przynajmniej jeden z ich przedstawicieli zawdzięczał swoją karierę kościołowi.

Tak wybili się Ks. Drużbacki i ks. Rychlewicz a w przypadku Trzecieckiego był to reformacyjny zapal, który wiązał się z pracą nad przekładem Pisma Świętego. Wywodzą się Drużbaccy ze

Spiszu, gdzie pomiędzy Lubowlą a Podolińcem były dobra Drużbaki Dolne i Drużbaki Wyżne (dziś słowackie Ružbachy). Śladem tego są m.in. metryki tuchowskie dot. dziadka wspomnianej Tekli, Franciszka Drużbackiego. Jego żoną była Julia Zelenka z Lubowli. Widać istniały jeszcze wówczas jakieś kontakty rodzinne poprzez trakt węgierski z tamtymi stronami. Tekla Drużbacka-Rychlewicz posiadała starszą siostrę Ewę Drużbacką. Ewa urodziła się w 1853 r., w Tuchowie.

Kusi szansa odkrycia związków Franciszka i Antoniego Drużbackich z Kazimierzem Drużbackim, herbu Lew, skarbnikiem żydaczowskim. Kazimierz poślubił Elżbietę z Kowalskich-Drużbacką, „polską Safonę”. Zmarła ona w Tarnowie 14.III.1765 r. Pochodziła z Wielkopolski. Talent literacki spowodował, że jej życie przebiegło na magnackich dworach. Pierwszym był dwór kasztelanowej krakowskiej Elżbiety Sieniawskiej. Trafiła tutaj jako towarzysza córki kasztelanowej, Marii Zofii. Mąż Elżbiety, Kazimierz przyjaźnił się z rodziną Antoniego Benedykta Lubomirskiego, miecznika koronnego, dziedzica Janowca, Kolbuszowej i Rzemienia. W Rzemieniu u Lubomirskich na dzierżawie zainstalował się brat Kazimierza, Antoni Drużbacki, preceptor syna dziedzica. Po owdowieniu skierowała się Elżbieta na dwór kanclerza litewskiego, Rafała Czartoryskiego, następnie Barbary z Duninów-Sanguszkowej do Lubartowa. Bywała na Podlasiu u Branickich, w Dubiecku u Krasickich. Korespondowała z księżną Marią Anną Radziwiłł. Wszędzie przyjmowano ją serdecznie i pomagano jej. Najpoważniejszymi mecenasami okazali się bracia Załuscy. Andrzej Stanisław, biskup krakowski oraz Józef Andrzej, biskup kijowski. Wydali oni „Zbiory rymów duchownych, panegirycznych, moralnych i światowych”.

Ciekawe są również żytomierskie koleje rodziny Drużbackich. Antoni Drużbacki, uczeń krzemienieckiego gimnazjum, w dniu 28.IV.1809 r. wraz ze swymi kolegami Adolfem Świdorskim i Benedyktem Traczewskim uciekł ze szkoły w celu wzięcia udziału w wojnie z Austrią, która napadła na Księstwo Warszawskie. Pisał o nim M. Rolle w monografii poświęconej gimnazjum pt. „Czacki i Krzemieniec”. Akta śledztwa na które w swojej pracy się powołuje, (śledztwa w sprawie samowolnych uczniów) są do dziś przechowywane w Muzeum XX Czartoryskich w Krakowie. Wynika

z nich, że odesłano Antoniego Drużbackiego do Żytomierza, do rodziców. Inny Drużbacki z Żytomierza, Maurycy, zaangażował się w konspirację niepodległościową w 1863 r. Woził korespondencję ukrytą w obcasach butów, także druki, pieczęcie i materiały kasowe Rządu Narodowego. Został na tym przyłapany w lipcu 1863 r. przy przeprawie promem przez Teterów, gdy wracał z Warszawy. W śledztwie prowadzonym przez żandarmerię carską nikogo nie wydał. Uwięziony był w cytadeli kijowskiej. Przyjeżdżali tutaj do niego różni ludzie namawiając go aby rozszyfrował pseudonimy osób do których szły listy. Nie ugiął się pomimo rozpaczy swej żony będącej w ciąży. Został rozstrzelany. W postawie przed egzekucją upamiętnia go pomnik w kościele św. Piotra i Pawła przy ul. Grodzkiej w Krakowie. Tablice i posąg wykonał znany artysta Antoni Madeyski. O Maurycym pisali znani historycy m.in. S. Kieniewicz, Eligiusz Kozłowski, Ryszard Zieliński.

W czasie Powstania Styczniowego działalność patriotyczną rozwinął również Ignacy Goerscht-Drużbacki, właściciel majątku Zameczek, 6 kilometrów od Opoczna. Rodzina Goerscht-Drużbackich przyznaje się do korzeni saskich, węgierskich (ze Spiszu) i ormiańskich. Kiedy pewnego dnia w 1863 r. do dworku Rosjanie przyprowadzili kilkunastu powiązanych powstańców, obwieścili, że zostaną oni powieszani na 300 letnim, istniejącym do dziś dębie. Ignacy zaproponował przed egzekucją „poczęstunek”, którym do nieprzytomności spoił oficerów. Podobnie nie poskąpiono trunku eskortie. Powstańców uwolniono, nakarmiono. Odziano i suto zaopatrzone oraz skierowano w bezpieczną stronę. Poszedł z nimi i sam Ignacy Drużbacki. Jego powstańcza służba nie trwała długo, został aresztowany po klęsce oddziału.

W latach późniejszych zameczkowski dwór dał schronienie wielu rezydentom, weteranom powstania. Do roli tej powrócił w czasie II wojny światowej, kiedy to w okolicznych lasach ukrywały się oddziały partyzanckie.

Drużbaccy gościli we dworze żołnierzy konspiracji rzekomych oficjalistów, pracowników leśnych, praktykantów. Dwór służył też do przechowywania broni i amunicji. Nocowali w nim angielscy i rosyjscy spadochroniarze. Przebywał tutaj także spokrewniony z gospodarzami major Henryk „Hubał” Dobrzański. Wspominała go córka ostatniego właściciela Teresa z Drużbackich-

Sobańska. Według jej słów „Henio zjawiał się nocami ze swoimi ludźmi, wchodząc do bliskiego sobie domu. Trudno zapomnieć jego postać... z regularnymi rysami twarzy, jasnoniebieskimi oczyma, gęstą brodą, gdy zasiadał wygodnie w dużym, czerwonym fotelu... z płaszczem wojskowym rozłożonym na oparciu.” Gdy przy stole prowadzono rozmowy, ze spiżarni ładowano jego ludziom słoninę i inne potrzebne prowianty. Ojciec Teresy mitygował „Hubalą”, by nie narażał okolicznych wsi. On tego w ogóle nie słuchał. Do tragedii doszło m.in. w dniach 7-8 kwietnia 1940 r. Niemcy urządzając obławę na oddział mjr „Hubala” obstawili szosę Kielce-Końskie. We wsi Adamów rozstrzelali 85 osób, w tym 33 letnich braci Edwarda i Kazimierza Mirowskich. Napisałem wiersz poświęcony ofiarom tej zbrodni, zatytułowany „Adamów”. Los tragicznie splótł dzieje Mirowskich i Drużbackich. Jak z tej perspektywy oceniać partyzanckie poczynania „Hubala”, zagończyka czy watażki? Interesujące są związki rodziny Drużbackich ze znanymi postaciami literatury i sztuki. Córka poetki, Elżbiety Drużbackiej, wyszła za mąż za Jana Nepomucena Dembińskiego i przypadł jej honor bycia babką Aleksandra hr. Fredry, autora „Zemsty”. Helena Drużbacka zostając żoną Antoniego Obertyńskiego weszła w koligacje z Wandą Monne, narzeczoną Artura Grottgera, jej córką, Marylą Wolską i wnuczką Beatą Obertyńską, też poetką (1898-1980). Tragicznym akcentem dziejów tej niecodziennej rodziny jest los Józefa Maurycego Drużbackiego, podporucznika wojska polskiego, ur.19.III.1906 r., syna Feliksa i Wandy, służącego w 10 pułku artylerii, którego losy wojny rzuciły na wschód, skąd trafił do obozu w Kozielsku i tak jak swój imiennik w 1863 r. także został rozstrzelany przez Rosjan, w Katyniu. Jego zwłoki zostały zidentyfikowane podczas pierwszej niemieckiej ekshumacji. Figuruje na liście „Amtliches Material” poz. 3482. Inny Drużbacki, Franciszek, został umieszczony na Liście Zaginionych Katyńskiej (LZK). 7.IV. 1990 r. Kuria Metropolitalna w Krakowie otrzymała od MSW akta katyńskie zabrane jej w 1952 r. w czasie rewizji. Wśród nich znajdują się m.in. dokumenty Józefa Maurycego Drużbackiego. Ta historia przypomina żywo tragiczne koleje losu Macieja Mirowskiego, legionisty przełomu XVIII/XIX wieku i por. Macieja Mirowskiego z Wadowic, zamordowanego w Katyniu.

Drużbaccy i Mirowscy dzielą losy wielu szlacheckich i inteligenckich rodzin, ciężko doświadczonych w czasie ostatniej wojny. Dygresje dotyczące Drużbackich okazują się mocno rozgałęzione.

Dodać chcę jednak jeszcze nieco o Rychlewiczach. Wujek Antoni miał starszego brata Mariana Macieja, jego dziećmi byli Zbigniew Rychlewicz, ojciec „Marioki” i ciocia Hanka. Sam wujek Antoś nie miał dzieci ani z pierwszą żoną, Rozalią z Pług-Cichockich, ani z ciocią Marysią z Fiedlerów. Młodsze siostry Mariana i Antosia to Eleonora i Zofia. Zofia zmarła w dzieciństwie w 1889 r. w Tuchowie. Eleonora wyszła za mąż za Antoniego Nowosielskiego, ojca Piotra Władysława Nowosielskiego, kpt. WP, zamieszkałego w Równem. Zamordowanego w niewoli sowieckiej w czasie II wojny światowej. Jego siostra Helena Nowosielska poślubiła Jana Rychlewicza (ur.15.III.1887 r.) z linii pilźnieńskiej, syna Michała Rychlewicza. Michał Rychlewicz syn Stanisława i Marii z domu Grabowskiej, żenił się dwukrotnie. Po raz pierwszy z Józefą Klimaszewską, ur.12.V.1871, zm.10.III.1945 r. w Pilźnie i po raz drugi z Marią Podgórną, jej synem z pierwszego małżeństwa z Podgórnikiem był wspomniany Jan, mąż Heleny Nowosielskiej, usynowiony jednak przez Michała, przyjął jego nazwisko. Dzieci Michała to Maria (ur. w 1894-zm. w 1968, po mężu Łabędziowa), Helena Rychlewicz-Zacharowa, jeszcze w panieństwie czł. Zw. Strzeleckiego w Pilźnie, Władysław Rychlewicz (ur.30.IX.1900r., zm. 7.I.1971 r. w Pilźnie). Dalej Eleonora Rychlewicz-Mossoń (ur. 29. VIII. 1905 r., zm. 20. VIII. 1978 r.), Stanisław Rychlewicz(ur. 19. IX. 1907r., zm. 26.III.1945r.) i Bolesław Rychlewicz ur. w 1912 r., ojciec Adama i Jacka Rychlewiczów. W pokoleniu Michała Rychlewicza z Pilzna, wymienić trzeba jego siostry i braci, dzieci Stanisława Rychlewicza i Marii z Grabowskich. Byli to Maksymilian Rychlewicz, ożeniony z Węgrzynowiczówną, ojciec Eugeniusza (zamieszkałego w Krzeszowicach) i Marty Rychlewicz-Rodziejewiczowej (czł. Zw. Strzeleckiego w Pilźnie) oraz Jadwigi Rychlewicz-Kamińskiej, Tomasz Rychlewicz (brat Michała, Maksymiliana i Jana), ożeniony ze Szczeklikówną, ojciec Zofii, primo voto Ryś, secundo voto Skazowej, Marii Rychlewicz-Wojciechowskiej i Piotra Rychlewicza, masarza w Pilźnie, (poznałem go osobiście). Moja linia to pokolenie Jana Rychlewicza,

(ur. w 1863 r., zm. 5.VI.1944 r. w Pilźnie), ożenionego z Julią z domu Król (1862 zm.6.XI.1943 r.). Dzieci Jana i Julii to: Józef Rychlewicz (ur.15.III.1893, zamordowany przez Niemców 11.II.1941r. w obozie koncentracyjnym w Mautausen-Gusen. Był on urzędnikiem celnym, pracował w Urzędzie Finansowym w Pilźnie, potem w urzędach celnych w Wirku, w Golezowie jako naczelnik urzędu. Kolejno w Cieszynie jako komisarz celny. Odznaczany był srebrnym i złotym medalem „Za zasługi w służbie państwowej” i Srebrnym Krzyżem Zasługi. Był działaczem Związku Zachodniego i Klubu Sportowego w Skoczowie. Jest ojcem Tadeusza (wzmiankowanego już wcześniej lotnika) i Stanisława Rychlewiczów, i ich siostry Wandy Rychlewicz-Maińskiej, zamieszkałej w Skoczowie. Bracia Józefa to: Franciszek i Jan młodszy. Franciszek ożeniony ze Stanisławą Zarychtą (pamiętam odwiedziny u cioci Stasi w Pilźnie) miał troje dzieci Jankę Rychlewicz-Lasoń i Wandę oraz Leopolda. Zakonnika i księdza karmelity, (brata Anzelma) generała prowincji polskiej karmelitów, którego niespodziewaną śmierć opisałem na łamach tego dziennika. To był wujek Poldek. Zmarł 15.I.2000 r. a pogrzeb odbył się w Pilźnie 19.I.b.r.

Jan Rychlewicz młodszy ożenił się ze Stanisławą Szczeklik-Rychlewiczową i miał 5 dzieci: Antoniego (zamieszkałego w Wysowej, ojca Agnieszki i Arkadiusza Rychlewiczów), Józefę, żonę Jana Mroźnego z Dębicy, znanego działacza „Solidarności”. Córki: Teresę Rychlewicz-Olewską, Barbarę Rychlewicz-Kaletnik, żonę wujka Staszka i matkę 4 synów: Krzysztofa, Grzegorza, Pawła i Zbigniewa. Najmłodszym synem Jana Rychlewicza i Stanisławy Szczeklik-Rychlewicz jest Zygmunt Rychlewicz, ojciec Grażyny, nauczycielki historii, którą uczyłem w Studium i z którą regularnie koresponduję, jej siostr: Beaty, Magdy, Agnieszki i braci: Tomka i Marcina. Siostrami Józefa, Franciszka i Jana młodszego były: Rozalia Rychlewicz-Tańcula, matka wujka Antoniego, pułkownika Wojska Polskiego, służącego w Ministerstwie Obrony Narodowej. Byłem na pogrzebie wujka Tośka na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Grała orkiestra WP, było wielu generałów. Grób znajduje się w sąsiedztwie miejsca spoczynku znanego malarza Michała Byliny. Z synem Tośka, Andrzejem koresponduję. Jego brat

Sławek wyjechał do USA a po powrocie wybudował sobie piękny dom rezydencje pod Warszawą.

Maria Rychlewicz-Rumanowa to babcia kuzyna Leona, o którym wiele tu już pisałem, brata Siemka i Eli Balazy z Chicago, autorki książki pt. „O Ameryce”, którą pomagałem redagować i której robiłem korektę. Dziećmi Marii byli: Ed Ruman, pilot polskich dywizjonów lotniczych w Anglii w czasie II wojny światowej, jego brat Władysław i Urszula Ruman, babcia dzieci Leona: Joli, Haliny i Marzenki obecnie przebywającej w klasztorze sióstr urszulanek i Juli, jeszcze uczennicy LO w Tarnowie i dzieci Siemka: Izy, będącej aktualnie u Eli w Chicago oraz Gosi. Pozostałe siostry to Gabriela Rychlewicz-Nowakowa, matka Basi, Marysi i Haneczki (zmarłej młodo chyba na raka kości), Basia po mężu Jeremiak, żona Janusza jest mamą Marysi, zamężnej za Grzegorzem Cichockim. Oboje są rodzicami Dawida, Maria Nowakówna wyszła za mąż za kardiologa Marcina Ptaka, mają córkę po studiach konserwacji zabytków Martę Ptakównę. Pozostałe siostry to Stanisława Rychlewicz-Szamborska, matka Staszka i Gienka Szamborskich i moja babcia Honorata.

cd. następny numer „Aspiracji”

WARTO WIEDZIEĆ

ROK 2007 - ROKIEM STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO

Wyspiański Stanisław (1869 – 1907)

dramaturg i poeta, malarz, grafik, scenograf



Autoportret, 1902 rok

Twórczość Stanisława Wyspiańskiego była wyjątkowa pod wieloma względami, a u jej źródła leżały niewątpliwie artystyczna wrażliwość wyniesiona z domu oraz niezwykle szerokie inspiracje i zainteresowania Twórcy – od epickich dokonań Matejki po dorobek sztuk plastycznych zachodniej Europy przełomu wieków oraz od klasycznej filozofii i dramatu po dzieła Ibsena i Victora Hugo.

/ fr. z internetu/

GDY PRZYJDZIE MI TEN ŚWIAT PORZUCIĆ

1. Gdy przyjdzie mi ten świat porzucić,
na jakąż nutę będę nucić
melodię zgonu mą wyprawną?
Rzuciłem przecież go już dawno.
2. Już dawno się przestałem smucić
o rzeczy miłe mnie stracone.
Miałyżby smutki jeszcze wrócić,
kraść, co już dawno ukradzione.
3. Przecież już dawno się wyzbyłem
marzeń o utraconym raju.
Żyję, by zwało się, że żyłem ...
nad jakąś rzeką, w jakimś kraju...
4. Nad jakąś rzeką, w jakimś mieście,
gdzie-ślubowałem ślub niewieście,
gdzie dom stworzyłem jej i sobie
z myślą o jednym wspólnym grobie.
5. A na tym grobie, wspólnym domie,
niechże mi wicher gałązki łomie,
gałązki zeschłe, zwiędłe, kruche
w jesienną deszczną zawieruchę.
6. Tak samo będę słuchał w grobie,
jak deszcz po świecie pluszcze sobie,
jak słucham deszczu za tą ścianą - -
i wiem, że znów się zbudzę rano.
7. Niechże mi rano słońce świeci,
niech świeci jasno, mocno grzeje.
Nad grób niech moje przyjdą dzieci
i niech się jedno z nich zaśmieje.

Stanisław Wyspiański

dnia 7-ego lipca 1903. Rymanów

POEZJA I MUZYKA

JACEK KACZMARSKI
Urodzony 22 marca 1957
Warszawa
Zmarł 10 kwietnia 2004
Gdańsk

Jacek Kaczmarski – polski

poeta, prozaik, piosenkarz, twórca tekstów piosenek.

Znany głównie dzięki piosenkom o tematyce historycznej. Postać powszechnie kojarzona z etosem pierwszej Solidarności oraz stanem wojennym – okresem, kiedy jego liryka, rozpowszechniana w nieoficjalnych wydawnictwach, identyfikowana była jako głos antykomunistycznej opozycji.

W opinii społecznej utrwalił się wizerunek Kaczmarskiego jako barda z gitarą śpiewającego "protest-songi", choć jego twórczość wykraczała poza ten stereotyp.

Pochodzenie jego rodziny jest opisane w piosence „Drzewo genealogiczne...”

DRZEWO GENEALOGICZNE

Rodowód mój nie sięga bursztynowych szlaków,
Mój praszczur się nie najadł na ciele Popiela,
I kiedy nie od razu budowano Kraków
Zabrakło także mojej krwi przedstawiciela.

Czy byli pod Grunwaldem - milczą kronikarze,
Jeżeli wzięli Moskwę - to ich tam zjedzono.
Brakuje mi pradziadów w głównym nurcie zdarzeń
Bym mógł ich dać za przykład pro publico bono.

Za to jacyś przodkowie (widzę po swych ustach,
Których krój Epikura psuje wstyd nieszczerzy)
Musieli czuć się dobrze przy Saskich Augustach
I z Ciołkiem zwiedzać chętnie ogrody Wenery.

A ponoć moim krewnym był żołnierz-poeta
Co za Kościuszki szyj chciał biskupów, magnatów;
Ach czyżbym po nich przejął jakobiński nietakt
I czci brak dla błękitnej krwi i purpuratów?

Nie słyhać o mym rodzie w Noc Listopadową
I nie zasiłał chyba styczniowych patroli,
Z Syberii żaden z moich z posiwała głową
Nie wracał, by napisać księgę swych niedoli.

Za to jakiś zmarznięty francuski gwardzista
Miło ogrzał się w jednym z litewskich powiatów,
A znów Tatar Potockich czarnym okiem błyskał
Do stołecznej działaczki "Proletariatu".

Najświeższe drzewa rodu mojego gałązki
Spłonęły za murami w Getcie i w Powstaniu,
Lub w powojennym gruncie przyjęły się grząskim
I wypuściły pączek - o nim w jednym zdaniu:

Chodziłem do kościoła - oglądać witraże,
W komunistycznej szkole miałem same piątki,
Od dziecka byłem głodny podróży i wrażeń
Nieświadom, że to złego miłe są początki.

Nie mam blizn po kajdankach, napletek posiadam,
Na świat przyszedłem w czepku, nie pod ułańskim
czakiem;
Po dekadzie wygnania - polskim jeszcze władam,
Proszę więc o dokument,
że jestem Polakiem.

Nie ma blizn po
kajdankach, napletek
posiada,
Na świat ten przyszedł w
czepku, nie pod ułańskim
czakiem;
Po dekadzie wygnania -
polskim jeszcze włada,

Prosi nas (!) o
dokument, że jest
Polakiem!



SPIS TREŚCI

Poezja - /„poezjo –wiecznieś cię po sprzętach

szukać trzeba...” S.Wyspiański/ s.4

Wiesław St. Ciesielski, „Oblicze Anioła” s. 5

Grzegorz Jurczak s. 6

„Wiara”, „Wielojednoznaczność” *** “To nie wina emocji...”

Anna Mróz, s. 7

Z cyklu: “W strugach wiatru” ***Nie ma już tej dziewczyny...

***Twój portret słowami maluję...

Michał Piętniewicz, s. 8-13

„konik bujany” „W domu mojej babci” „strach ludojada”

„podróż zimowa” „był pewien poeta” „Mój mistrz”

Bartosz Baran, 14-15

***Nie lękaj się... * * * To co miało dla mnie sens...

***Pięknem wspomnień uderzam... * * *Pocałunkiem ciszy...

***Pomiędzy ciszą a zgiełkiem...

Agnieszka Węgrzyn, s. 16-17

„Studnia” „Zaduma”

Krzysztof Maniak, „Popołudnie” s. 18

Patryk Brożek, „Libido” s. 18

Robert Stańczyk, s. 19-22

„Dzieci małej wiary” „Zapomnieć” „O wierszach”

„Krajobrazy samotne”

Mateusz Stańczyk, s. 23-25

„Skóra” „Kartka z pamiętnika” „Niechący...” „4”

Andrzej Mleczko, * * *Popatrz na mnie s. S.25

Dariusz Romanowski, s. 26-28

„W prostych słowach wyrazić...” „Wszystko w porządku jeśli...”

„Sen nocy dzisiejszej”

PROZA

Michał Piętniewicz, s.29-37

„Krótka podróż do kraju czerwonego snu” „Knajpa”

Sławomir Boboła, s. 38

„Czekając na deszcz”

Jerzy Reuter, s. 45

„Strach” „Skarb”

Zbigniew Mirosławski, s. 60

„Dzień za dniem”

WARTO WIEDZIEĆ ; s. 84

Rok Wyspiańskiego

Poezja i muzyka -/ Jacek Kaczmarski 1957-2004/